

**Jacobs Holly**

**Zdążyć przed wigilią**

**Niespodziewane szczęście**

*Krytyczny reportaż dziennikarki telewizyjnej Merry Deluki na temat bezsensownego szalu świątecznych zakupów okazuje się trudny do nakręcenia z powodu nowego kamerzysty, Patricka MacFarlanda, jej byłego narzeczonego. Nakłania ją bowiem nie tylko do zmiany scenariusza i innego podejścia do świąt, lecz także do niego samego...*

## ROZDZIAŁ PIERWSZY

Joy O'Connell nie była... no właśnie, nie była specjalnie radosna, choć z racji swojego imienia powinna taka być.<sup>1</sup>

Prawdę mówiąc, gdyby usłyszała jeszcze jedną wersję uroczej skądinąd piosenki „Białe Boże Narodzenie”, zaczęłaby chyba wrzeszczeć na całe gardło. Jadąc do pracy samochodem, wysłuchiwała jednej wersji w stylu reggae, a po wejściu do King's Mall zaatakowała ją wersja klasyczna w wykonaniu Binga Crosby'ego.

To jeszcze można było znieść.

Z trudem.

Ale ten rap, który leciał w windzie?-Wzdrygnęła się. Nie miała nic przeciwko rapowi, ale jak można nadawać coś takiego w poczciwej, staroświeckiej windzie?-

Wybiegła z niej, gdy tylko otworzyły się drzwi, minęła puste o tej porze okienko obsługi klienta

---

<sup>1</sup>Joy (ang.) - radość (przyp. red.).

i pognęła korytarzem do swojego pokoju, zatraskując za sobą drzwi, żeby nie słyszeć tego jazgotu.

Zerknęła na zegarek. Punkt dziewiąta. A więc dopiero za dziewięć godzin, czyli po zamknięciu magazynu, w momencie zakończenia sezonu świątecznego, będzie mogła wyłączyć bożonarodzeniową muzykę. Czyli że jeszcze nie tak prędko.

Strategia firmy Harrington and Vine's wymagała, żeby kolędy i inne świąteczne melodie zaczynały rozbrzmiewać z głośników tego ekskluzywnego sklepu wraz z pojawieniem się bożonarodzeniowej dekoracji.

Joy, która pracowała w handlu prawie od dwudziestu lat, odnosiła wrażenie, że z każdym rokiem sezon Bożego Narodzenia zaczyna się odrobinę wcześniej.

Na przykład w tym roku na mocy odgórnego zarządzenia sezon musiał się rozpocząć w październiku, jeszcze zanim zdjęto dekoracje związane ze świętem Halloween.

To mógł być powód, dla którego Joy O'Connell czuła się teraz niezbyt radośnie.

A może powód był inny? Jest Wigilia Bożego Narodzenia, a ona utknęła w Charlotte, w Północnej Karolinie, podczas gdy cała jej rodzina, wszyscy przyjaciele i znajomi zostali po drugiej stronie kontynentu - w San Diego, w Kalifornii. To były

jej pierwsze samotne święta. Nawet gdy studiowała w college'u, wracała na święta do domu.

Już na samą myśl o dorocznych przyjęciach i spotkaniach towarzyskich, w których uczestniczyła przez całe życie, a które opuści w tym roku, wpadała w wisielczy nastrój. I tak wczorajszy wieczór przesiedziała z miską prażonej kukurydzy, oglądając w telewizji klasyczny krwawy horror-mało pasujący do świątecznego nastroju, podczas gdy na drugim końcu kraju jej cała rodzina bawiła się na przyjęciu u ciotki Loisy i wuja Jacka.

Patrząc, jak kolejna głupia bohaterka filmu wchodzi do ciemnej piwnicy, wyobraziła sobie ich wszystkich - ciotkę Theresę i ciotkę Colleen, kuzynów i kuzynki, swoich rodziców - zgromadzonych w jadalni ciotki Loisy, roześmianych i wręczających sobie zabawne prezenty. A przecież ona też tam zawsze była przez wszystkie poprzednie lata.

Poza tym rokiem.

Przeżuwając popcorn o dziwnie metalicznym smaku, obserwowała filmową bohaterkę, która zdecydowanie była ZGŹŹ, czyli Zbyt Głupia, Żeby Życ.

To prawda, Joy nie była zupełnie samotna na Wschodnim Wybrzeżu. Miała tu jedną przyjaciółkę - Morgan, która przeprowadziła się niedawno do Pittsburgha. Ale choć obie mieszkały na

Wschodzie, odległość między Charlotte a położonym w północno-zachodniej części Pensylwanii Pittsburghiem była za duża, aby opłacało się wyruszać na poszukiwanie namiastki więzi rodzinnych i świątecznego nastroju.

Już te wszechobecne kolędy i brak rodziny działały deprymująco. Ale szczytem wszystkiego, przysłowiową kroplą, która przelała czarę goryczy, było coś innego: oto trzecia z zatrudnionych w sklepie kobiet rozłożyła się na gripę.

Joy spojrzała na zegar. Trzeba się otrząsnąć i wziąć do roboty. Powiesiła płaszcz, żałując, że nie włożyła czegoś cieplejszego na tę okropną pogodę. W Północnej Karolinie było dziś paskudnie i zdecydowanie zimno, a złowieszcze chmury nie wróżyły nic dobrego. Joy naalała sobie filiżankę kawy - na szczęście Susan, jej zastępczyni, przyszła wcześniej i włączyła ekspres.

Wypiła łyk i usiadła, by choć przez chwilę delektować się ciszą, kiedy zadzwonił telefon. Wolałaby nie odbierać i pewnie by tak zrobiła, gdyby ktoś był w pobliżu. Ale odkąd niedawno została kierowniczką Harrington and Vine's, spadło na nią mnóstwo nowych obowiązków. Na co dzień dawała sobie radę, ale teraz, tuż przed świętami, miała wrażenie, że wszystko wali jej się na głowę. Czowała, że niczego więcej nie zniesie.

Niczego.

Niestety, nie było wyjścia, więc odebrała telefon - niewątpliwie zwiastuna złych wieści. Ciekawa, co jeszcze się wydarzy, odezwała się:

- Halo?

- Panna O'Connell? - usłyszała ochrypły głos, którego nie potrafiła zidentyfikować.

- Tak. W czym mogę pomóc?

- To ja... - Przez dobrą minutę Joy słyszała tylko przeraźliwy kaszel, aż wreszcie osoba po drugiej stronie linii wzięła głęboki oddech i wykrztusiła: - Jamie. Mówi Jamie.

- Jamie? - Joy odstawiła kubek, dobrze wiedząc, że kawa nie podniesie jej na duchu. Dopiero kiedy skończą się święta i epidemia grypy, może odzyska równowagę. Pełna najgorszych przeczuć zapytała: - Co się stało, zakrztusiłaś się? Bo chyba nie jesteś chora? Nie taka odporna osoba jak ty!

Jamie nie odpowiedziała.

- Powiedz, że cię nie wzięło.

Ale Joy już wiedziała, że nie usłyszy zaprzeczenia. Jamie Anthony, codziennie pomagająca w zakupach klientom Harrington and Vine's, naprawdę miała grypę. Ten jeden z największych magazynów galerii handlowej w King's Mall sprowadzał do Charlotte wyroby wiodących firm, przeznaczone dla wymagających i wybrednych klientów. Właśnie takich klientów obsługiwała Jamie. Robiła zakupy dla tych, którzy nie mieli czasu,

żeby przyjść osobiście, pomagała i doradzała tym, którzy mieli pieniądze, a nie zawsze dobry gust.

- Przykro mi - wychrypiała Jamie. - Niestety, wzięło. Gdybym mogła, na pewno bym przyszła. Wiesz, jak lubię włączać się w zakupy, zwłaszcza o tej porze roku...

Kolejny atak kaszlu przerwał zdanie w połowie, zresztą Jamie nie musiała kończyć. I pomyśleć, że jeszcze wczoraj przesadny świąteczny entuzjazm Jamie doprowadzał Joy do szału. Dzisiaj dałaby wszystko, żeby tak zwana osobista doradczyni weszła tanecznym krokiem do pokoju

I zaczęła wychwalać pod niebiosa przyjemności związane ze świątecznymi zakupami z okazji Wigilii Bożego Narodzenia.

- No to ładnie! - Joy nie pozostawało nic innego, jak dzielnie stawić czoło temu, co nieuchronne. - Powiedz chociaż, że twój terminarz jest pusty, bo stali klienci zdążyli wcześniej zrobić zakupy w tym roku.

- Rzeczywiście, nie mam już żadnych tego typu zobowiązań... - Kolejny długi napad kaszlu.

- Ale pamiętaj o zwycięzcach konkursu. Aha, to ma być całodniowa impreza. Ze zdjęciami, lunchem, zakupami...

- Och, nie...

Harrington and Vine's wspólnie z King's Mall ufundowało nagrodę losową w postaci darmowych bonów na zakupy dla rodziny, której się

poszcęściło. Teraz wyglądało na to, że Joy, kierowniczką magazynu, będzie musiała zastąpić chorą na grypę Jamie i osobiście pomagać w konkursowych zakupach.

Trudno, nie ma wyjścia, trzeba się pogodzić z losem.

- Jak się nazywa ta rodzina i kiedy się zjawi? - zapytała Joy.

- Hall. Nazywają się Hall i przyjdą o jedenastej. Znajdziesz ich dane na moim biurku.

Przysłali listę zakupów. To trzech chłopcy, którzy mogą wydać po siedemdziesiąt pięć dolarów na prezenty dla osób z najbliższej rodziny - matki, ojca, ojczyma, przyrodniego rodzeństwa, dziadków, no i na siebie. Masz ich imiona i nazwiska, program dnia i wszelkie niezbędne informacje.

Joy spojrzała na zegar, odliczając minuty, jakie jej zostały do ich przybycia. Jej ponury nastrój chyba jeszcze się pogłębił.

- Tak mi przyk... - Znowu dopadł ją kaszel.

- Jamie, tylko nie rób sobie wyrzutów. Kładź się do łóżka i kuruj. Jeszcze się napracujesz w poświętecznym szczycie. Postaraj się miło spędzić jutrzejszy dzień.

- Dziękuję.

- Wesołych świąt, Jamie.

- Nawzajem - wychrypiała Jamie i rozłączyła się.

Joy wstała i poszła do pokoju Jamie po



270

dokumenty z danymi szczęśliwych wybrańców. Zastanawiała się gorączkowo, jak się z tego wymigać.

Musi być ktoś - ktokolwiek - kogo można by w to zrobić.

Długo nie musiała myśleć.

Wracając z papierami w ręku, natknęła się na Susan Thomas, swoją zastępczynię.

Pojawienie się jej uznała za znak dany od Boga. Nawet nie musiała jej wzywać, ponieważ Susan właśnie wchodziła do jej gabinetu.

Klasyczny przypadek, kiedy mucha sama wpada w pajęczynę.

Susan poradzi sobie ze wszystkim, nawet z zakupowym szaleństwem rodziny Hallów w Wigilię Bożego Narodzenia

No właśnie, Susan zastąpi Jamie i wybawi Joy z kłopotu.

Podniesiona na duchu Joy weszła za Susan do swojego gabinetu. Zaraz przekaze Hallów w dobre ręce, następnie uraczy się filiżanką kawy, a dopiero potem ruszy do walki ze świąteczną rzeczywistością.

Susan usiadła na krześle przed biurkiem Joy z ponuro opuszczoną głową.

- Posłuchaj, Susan... - zaczęła Joy i obeszła biurko, żeby zająć swój fotel. Odłożyła dokumenty i sięgnęła po kawę. Dopiero wtedy Susan podniosła głowę.

271

Zieleń jej twarzy nijak nie pasowała do odświętnego stroju, jaki miała na sobie. Optymizm Joy gwałtownie wyparował.

- O, nie - wyartykułowała dobitnie, jakby to słowo miało natychmiast uzdrowić koleżankę. - Nie jesteś chora, Susan.

Na pewno nic jej nie jest. Wystarczy odrobina silnej woli, żeby...

- Przykro mi, Joy, ale... - Susan poderwała się z krzesła i jak szalona pobiegła w stronę toalet. Joy poszła za nią, żeby sprawdzić, czy Susan w ogóle żyje. Już wiedziała, że jej zastępczyni nie zajmie się Hallami.

Została sama na placu boju.

Wesołych świąt! Cholernie wesołych i radosnych! A niech to szlag...!

- Jeżeli w ciągu dziesięciu minut nie znajdziecie się w samochodzie, odjadę bez was.

Doktor Edward Hall stał w drzwiach kuchennych, słuchając odgłosów z pierwszego piętra, które przypominały popłoch wśród stada bydła. Uśmiechnął się, chociaż nienawidził spóźniać się i robić wszystko na ostatnią chwilę. Niestety, chłopcy mieli zawsze mnóstwo niecierpiących zwłoki zajęć, więc mimo wiecznego pośpiechu, spóźnienia były normą.

Po namyśle zawołał jeszcze:

- Hej! Zasada numer jeden! Zasadę!

Chociaż jego trzech synowie nie odziedziczyli po nim nawet jednego genu punktualności, Ed uwielbiał być ich ojcem. Czuł się w tej roli cudownie.

I zawsze tak było.

Może tylko wyszedł trochę z wprawy w zwykłych codziennych czynnościach w ciągu tych pięciu lat, to znaczy od czasu polubownego rozvodu z żoną.

Nie rozstali się w specjalnej przyjaźni, ale obojgu im zależało, żeby rozpad rodziny nie pozostawił na chłopcach trwałego urazu i żeby im było jak najlepiej, więc po jakimś czasie ich wzajemne stosunki ułożyły się poprawnie. Dzielili się opieką nad dziećmi, dbali o ich wychowanie i wszystko przebiegało harmonijnie, dopóki trzy miesiące temu sytuacja nie uległa zmianie.

Do niedawna, głównie ze względu na szkołę, chłopcy w ciągu tygodnia mieszkali u mamy. Ale weekendy i święta spędzali z Edem.

Zawsze miał dla nich czas. Jako lekarz reumatolog rzadko bywał wzywany do nagłych wypadków i miał w miarę uregulowany czas pracy. Przyjmował pacjentów od dziewiątej do piątej w dni powszednie i do południa w soboty. Idealny układ dla ojca, pragnącego żywo uczestniczyć w pozaszkolnych zajęciach swoich dzieci.

Trenowali razem, kibicował im i dopingował zza linii boiska, zabierał samochodem na wycieczki... jednym słowem żył z nimi i dla nich.

Ale wszystko się zmieniło, kiedy obecnemu mężowi Leny zaproponowano wymarzoną pracę w oddalonym o dwie i pół godziny jazdy Raleigh. Chłopcy nie chcieli opuścić Charlotte. Byli w wieku, w którym zawiązują się trwałe więzy koleżeńskie, znaleźli też swoje miejsce w szkołach, do których uczęszczali.

Lena znalazła się między młotem a kowadłem.

Dwie przyrodnie siostry chłopców były jeszcze w wieku, w którym przeprowadzka nie stanowi problemu, ale dla nich samych porzucenie szkoły i przyjaciół byłoby bardzo trudne. W końcu Ed i Lena uzgodnili, że chłopcy zostaną z nim na czas trwania szkoły, natomiast weekendy i święta, a także, o ile to będzie możliwe, letnie wakacje będą spędzać z nią w Raleigh.

Żeby mieć więcej czasu dla synów, Ed zatrudnił w gabinecie wykwalifikowaną pielęgniarkę.

Spędzą więc razem Wigilię i poranek pierwszego dnia świąt Bożego Narodzenia, po czym chłopcy pojedą na tydzień do matki. Jednak zanim do tego dojdzie, trzeba jakoś przeżyć dzisiejszy dzień.

A dziś pora na zakupy!

Ed nie cierpiał zakupów, zwłaszcza w Wigilię. W centrum handlowym panuje tego dnia totalny chaos, pełno tam ludzi kupujących w ostatniej chwili. Dla kogoś tak systematycznego jak Ed, miotający się po sklepie klienci muszą być co najmniej irytujący. Chyba wolałby mieć do

czynienia z panią Majors, swoją najtrudniejszą i najbardziej oporną pacjentką, niż robić zakupy w Wigilię.

Ale nie było wyjścia. A skoro musi się tam stawić, zrobi to punktualnie.

- Dziesięć, dziewięć, osiem... - zaczął odliczać na głos. Efekt był natychmiastowy. Cała trójka zbiegła po schodach i sapiąc, ustawiła się przed ojcem.

- Co, pali się, tato? - zapytał Jake, szesnastolatek z szopą brązowych włosów, które co chwila odgarniał z oczu. - To ja wygrałem konkurs. Nic się nie stanie, jeśli się trochę spóźnimy.

Zaczekają na nas.

- Synu, jest Wigilia i założę się, że kobieta, która łaskawie zgodziła się pomóc nam dzisiaj w zakupach, ma ważniejsze sprawy na głowie, niż czekanie na trzech chłopaków.

Ed popatrzył na dwóch młodszych synów, którzy wyglądali prawie jak klony starszego brata. Za długie włosy, szelmowskie ciemne oczy. Piętnaście i dwanaście, no, prawie trzynaście lat. Jak ten czas leci! Wydaje się, że tak niedawno nosili pieluszki...

- No i zasada numer jedenaście, prawda, tato? - zapytał T.J.2

Ed roześmiał się.

275

- Tak. Zasada życiowa numer jedenaście.

- Zlustrował wzrokiem dwóch młodszych.

- Tim, T.J., jesteście gotowi?

- Tak - odpowiedzieli chórem.

- Nie sądzicie, że przyda się wam coś cieplejszego?- Weźcie lepiej kurtki. Na dworze jest zimno. Zapowiadali nawet śnieg.

Chłopcy tylko uśmiechnęli się pod nosem.

Ed pamiętał czasy z własnej młodości, kiedy odjazdowy wygląd liczył się bardziej niż wygoda. Może na tym polega urok dojrzałego wieku czterdziestu lat, pomyślał. W jego przypadku zwyciężyła wygoda. Sięgnął po skórzaną kurtkę i spojrzał wymownie na chłopców, ale oni pozostali niewzruszeni.

- Tato, nasze bluzy są w porządku - zapewnił Jake tonem, który oznaczał:

biedny-tata-nie-na-dąża. - Dlatego za bardzo się martwisz naszym zdrowiem, bo przez cały dzień masz do czynienia z chorymi.

- To nie ma nic wspólnego z tym, że jestem lekarzem, tylko z tym, że jestem waszym tatą. A swoją drogą martwienie się jest częścią mojego zawodu - dodał. Wiedział, że rodzic nigdy nie może zanadto dbać o dzieci, niezależnie od tego, czy jest lekarzem, czy nie. - A wasz tata lubi punktualność, pamiętacie? Biegiem do vana!

- Chcesz, żebym prowadził?- - zapytał Jake. Ed wiedział, że prawdziwy problem jest inny.

Pytanie powinno brzmieć: „Tato, czy mogę prowadzić”?

Jake miał prawo jazdy zaledwie od paru miesięcy i Ed wolałby, żeby chłopiec nie siadał za kierownicą, kiedy samochodem jadą jego młodszy bracia, ale Jake radził sobie nieźle, a w dodatku było Boże Narodzenie.

Nie odpowiedział, tylko pomachał kluczykami, a Jake szybko je przechwycił.

- Super. A teraz wszyscy do samochodu. I niech nikt nie zapomni zapiąć pasów bezpieczeństwa.

Ed roześmiał się, chociaż było już późno, chociaż pogoda była parszywa, chociaż jutro po południu chłopcy pojedą do matki, a on będzie się obijał samotnie po domu do końca świątecznych ferii.

Ale przecież, pomimo nachodzących go w tym tygodniu ponurych myśli, były święta.

Sytuacja miała też swoje dobre strony: Ed wraca do pracy dopiero w środę, chłopcy są zdrowi i zaraz zrobią zakupy na koszt luksusowej firmy Harrington and Vine's.

Więc się uśmiechał i choć jego dobry nastrój był trochę wymuszony, przynajmniej pasował do panującej świątecznej atmosfery.

Nawet przy takiej pogodzie i nieuchronności świątecznych zakupów dzień zapowiadał się nie najgorzej.

Jake usiadł na miejscu kierowcy.

- Przy tak złej pogodzie należy włączyć...

- zaczął od razu Ed.

- Światła, nawet jeśli jest dziesiąta rano. Wiem, tato.

- Jedźmy już - wrzasnął T.J. - Nie mogę się doczekać, kiedy się wreszcie dobioreę do działu z elektroniką.

- A teraz przypomnijmy sobie zasady...

- W drodze do King's Mall Ed zrobił chłopcom powtórkę z zasad dobrego wychowania.

Przypominało to chór. Głosem wiodącym był Ed, podczas gdy chłopcy pojękiwali i postękiwali w różnych rejestrach. Wyśmienie się uzupełniali.

Jake dowiózł ich w jednym kawałku pod centrum handlowe i zaparkował vana na końcu długiego rzędu samochodów. Cholernie daleko. Ed pomyślał, że i tak mają szczęście, bo zmieścili się jeszcze w granicach parkingu. Nie mógł uwierzyć, że taka masa ludzi zostawia zakupy na ostatnią chwilę, ale widok zapchanego doszczętnie parkingu nie pozostawiał złudzeń.

Ed przeprowadził bez szwanku swoją trójkę przez środek centrum, aż dotarli do Harrington and Vine's. Sklep udekorowano stylowo i ze smakiem, nawet obfitość czerwieni i zieleni w tym przypadku nie raziała. Z ukrytych głośników nieprzerwanie płynęła muzyka - kolędy i świąteczne standardy - ale nie była w stanie



zagłuszyć gwaru wyjątkowo dziś aktywnych klientów.

Ed wolałby, żeby wygraną w konkursie można było zrealizować odrobinę wcześniej i w ten sposób uniknąć tak ogromnej fali spóźnionych łowców prezentów.

Nienawidził tłumów i...

Spróbował zapanować nad swoimi negatywnymi myślami.

Chodziło przecież o chłopców, a ich podekscytowanie skutecznie przeciwstawiało się brakowi entuzjazmu Eda.

- Naprzód i do góry - wydał komendę, która spotkała się z jednogłośnym jękiem protestu.

- Daj spokój, tato. Może choć przez ten jeden dzień moglibyśmy zachowywać się jak normalni ludzie - zaapelował Jake, kiedy jechali windą na pierwsze piętro, zgodnie z instrukcjami fundatorów nagrody.

- Niczego nie mogę obiecać, ale jeśli się postaracie i będziecie się dobrze sprawować, ja też spróbuję. - Ed przekonał się już jakiś czas temu, że chłopcy w obawie przed jego interwencją hamują się i starają się nie stawiać go w kłopotliwych w ich mniemaniu sytuacjach.

- Witam - zwrócił się do siwowłosej kobiety w okienku obsługi klienta. - Nazywamy się Hall. Wygraliśmy konkurs i o godzinie jedenastej mamy się tutaj spotkać z Jamie Anthony.

- Och, pan Hall, właśnie na pana czekamy. Zaraz poproszę pannę O'Connell, która się państwem zajmie.

Ed rzucił okiem na drukowaną instrukcję, gdzie było wyraźnie napisane „panna Anthony”.

- Czyżby jakaś zmiana? - zapytał.

Ciekaw był, czy to perspektywa robienia zakupów w Wigilię Bożego Narodzenia z taką czeredą przeraziła pannę Anthony do tego stopnia, że scedowała ich na koleżankę.

Ale kobieta pokręciła głową.

- Grypa. Prawie jedna trzecia personelu jest na zwolnieniu z tego powodu, włącznie z Jamie. Ale proszę się nie martwić. Ręczę, że będziecie zadowoleni z panny O'Connell.

Ed uświadomił sobie, że stojący za nim chłopcy zachowują się podejrzanie cicho i spokojnie.

- Jake, Tim i T.J., jeżeli się odwrócę i zobaczę, co robicie, zostaniecie uziemieni na całą Wigilię, więc radzę wam przestać. - Uśmiechnął się do kobiety. - Przepraszam panią.

- Proszę się nie przejmować. Sama wychowałam dwóch, a teraz jeszcze doszły mi wnuki.

Wiem, co to znaczy. - Kobieta podeszła do bocznych drzwi. - Zaraz wracam. Jestem pewna, że z niecierpliwością czekacie na zakupy.

Z niecierpliwością?-

Ed odwrócił się i ujrzał anielskie miny chłopców, na które jednak nie dał się nabrać.

280

Jeśli ktoś miał się niecierpliwić, to tylko biedna panna O'Connell, która ma im pomagać w zakupach.

- Nic nie zrobiliśmy, tato - zaprotestował Jake.

- To nie ja - zapewnił T.J. -Tylko on i Tim byli... W połowie wyjaśnień i wzajemnych oskarżeń zadzwoniła komórka Eda. Włączając ją, pomyślał o kobiecie, która spędzi z nimi ten dzień. Miał nadzieję, że wie, co ją czeka.

## ROZDZIAŁ DRUGI

Joy naprawdę bardzo się starała wykrzesać z siebie odrobinę świątecznego entuzjazmu dla rodziny, którą miała się zająć.

Jakieś pół godziny temu włączyła nawet interkom i wysłuchiwała kolęd, próbując przypomnieć sobie czasy, kiedy nie dostawała wysypki na dźwięk świątecznych melodii.

Na siłę przywoływała błogie chwile, kiedy kolędy kojarzyły się jej ze świętami i radosną atmosferą, z oczekiwaniem i niespodziankami, no i czasem spędzonym z rodziną.

Próbowała sobie przypomnieć te motylki, które zagnieźdżały się w Wigilię w żołądku i nie opuszczały go aż do wieczora następnego dnia.

Wracała myślą do czasów, kiedy tak chętnie śpiewała kolędy. Jingle bells, Cicha noc...

Wtedy jeszcze czerwono-nose renifery, na czele z reniferem Rudolfem, sprawiały jej radość i pobudzały wyobraźnię.

To wszystko musiało odnieść skutek. Kiedy

Betty otworzyła drzwi i weszła do pokoju, Joy prawie z entuzjazmem nuciła hymn do bożonarodzeniowego drzewka.

- Już są! - W głosie Betty brzmiał ostentacyjny optymizm.

Joy natychmiast przestała nucić. Zatrwożył ją podniosły nastrój Betty, wyglądało to raczej złowieszczo i nie wróżyło niczego dobrego. Wypracowany z trudem entuzjazm Joy szybko się ulotnił.

- Co o nich sądzisz? - zapytała.

Betty uśmiechnęła się, co było ze wszech miar irytujące.

- Cóż, chyba będziesz miała pełne ręce roboty. Podczas gdy ojciec się przedstawiał, stojący za nim chłopcy, ci starsi, przewiesili młodszego głową w dół przez poręcz schodów.

- Urocze - mruknęła Joy. - Zakupy z bandą chłopaków!

- I z mężczyzną - zaszcebiotała Betty.

- I z mężczyzną - powtórzyła Joy. - Tak, właśnie tego brakuje mi na święta.

- Może rzeczywiście ci tego brakuje - podchwyciła Betty. - Odnoszę wrażenie, że w ostatnim czasie podupadłaś na duchu i nie przejawiasz świątecznego zapału.

- Jasne, przyganiał kocioł garnkowi! Czy to nie ty twierdziłaś wczoraj, że Boże Narodzenie jest zwykłym chwytem marketingowym i że zbojkotujesz święta w przyszłym roku? Zwra-

cam ci zresztą uwagę, że kiedy weszłaś, nuciłam właśnie kolędę.

- Ale już nie nuczysz.

- Nie nucę, od kiedy się dowiedziałam, że zamiast zajmować się miłą, dobrze wychowaną rodzinką, będę się uganiać za nieznośnymi chło-paczyskami po całym centrum. Wiem, jak to wygląda, bo jeszcze w liceum niańczyłam takie bachory przez całe lato.

Latami usiłowała wyprzeć z pamięci tamto wspomnienie, ale bez powodzenia. Bitwy wodne na szlauchy i hydranty, obrzucanie się błotem i przewracanie w brunatną maź, uządlenia pszczoł i złamana ręka, kiedy najmłodszy z rodziny, Ronny, ubrany w pelerynę ulubionego superbohatera, postanowił zrezygnować ze zbawiania świata i rzucił się na piłkę do rugby z huśtawki, gdy znajdowała się w najwyższej pozycji.

Tego dnia Ronald dokonał odkrycia - przekonał się, że miękkie dziecięce kocyki nie chronią graczy w rugby przed działaniem prawa ciężenia. Tego samego dnia Joy postanowiła, że nigdy więcej nie będzie się zajmowała cudzymi dziećmi, nawet gdyby miała przymierać głodem.

- To było najdłuższe lato w moim życiu - dodała Joy.

Kiedy następnego roku ta sama rodzina poprosiła ją o opiekę nad dziećmi, Joy odmówiła

i podjęła swoją pierwszą pracę w miejscowym domu towarowym.

Ale tej trójki braci nie może zostawić na lodzie.

- Chłopcy - mruknęła pod nosem, a słowo zabrzmiało jak przekleństwo.

Betty zarechotała basowo, niczym żeńska wersja świętego Mikołaja.

- Miałaś braci?

- Nie. Byłam jedynaczką. Ale miałam kuzynów. Wystarczy, żeby się utwierdzić w przekonaniu, że chłopcy tak naprawdę wcale nie są ludźmi. Czasami, oczywiście, dorastają i stają się mężczyznami, ale bywa, że pozostają chłopcami przez całe życie.

Ostatni facet, którego Joy traktowała poważnie i z którym umawiała się na randki, był swego rodzaju Piotrusiem Panem, który nigdy nie chciał dorosnąć. Powodem, dla którego zerwali, była właśnie ta jego niezdolność do funkcjonowania w charakterze osoby dorosłej. Spóźniał się albo zapominał o randkach, często zmieniał pracę - głównie dlatego, że nigdy nie zdążał na czas.

Ich romans na początku był fajny i beztroski, ostatecznie okazał się denerwujący i przygnębiający. Joy, która miała dość stresów w swoim życiu, doszła w końcu do wniosku, że facet nie jest wart zachodu.

I nie tęskniła za nim.

Co nie znaczy, że wykluczyła mężczyzn ze swojego życia. Broń Boże.

Mężczyźni?- Proszę bardzo, byle nie chłopcy.

Tymczasem dzisiaj musi pomóc w zakupach takim właśnie stworzeniom.

- Jest ich trzech? Trzech chłopców? - zapytała, licząc na to, że Betty zaprzeczy. Może ją źle zrozumiała, a może Jamie coś pokręciła. Może to tylko jeden chłopiec. A jeżeli liczba się zgadza, to może chodzi o trzy dziewczynki?

Niechby nawet o dwie dziewczynki i jednego chłopca.

Ale Betty tylko się zaśmiała.

- Tak, trzech chłopców. I ich ojciec. Ponieważ nie widać w okolicy żadnej mamy, należy przypuszczać, że to on ma prawo opieki. Musisz wykrzesać z siebie trochę autentycznego świątecznego entuzjazmu.

Joy parsknęła pod nosem.

- Jesteś taka radosna, że wystarczy za nas obie. Co się stało z tamtą zgryźliwą Betty, która przez ostatnie tygodnie chodziła ponura niczym chmura gradowa?

- Jest Wigilia Bożego Narodzenia i zamierzam ją spędzić z wnukami. Dzięki temu odzyskałam humor. Życzę ci tego samego, i to jeszcze przed końcem dnia.

- Bardzo śmieszne! Ja i wnuki!

- Pospiesz się. Chłopcy czekają.



Joy sięgnęła po papiery i sprawdziła ułożony przez Jamie program dnia. Krok pierwszy: sesja zdjęciowa z tutejszym świętym Mikołajem.

Czy to okaże się trudne?

Joy wzięła się w garść i wyszła na spotkanie losowi, który przypadł jej w udziale w dniu Wigilii.

Powierzona jej rodzina siedziała na krzeselkach w pobliżu biura obsługi klienta. Zanim ją zauważyli, miała okazję przyjrzeć im się i ocenić, co tak naprawdę ją czeka. Dwaj starsi chłopcy sprzeczali się, co lepsze - Marvel Comics 1, czy DC 4, najmłodszy zaś wydzierał kartki z jakiegoś pisma i robił z nich samolociki.

Ojciec rozmawiał przez komórkę, wyraźnie obojętny na to, co wokół niego się dzieje. Może, gdyby Joy spotkała tego człowieka w innym miejscu i w innych okolicznościach, uznałaby go za interesującego, a nawet seksownego mężczyznę. Ale w tych okolicznościach...

Miał ciemne, prawie czarne włosy, lekko siwiejące na skroniach. To pewnie zasługa tych chłop-

1Marvel Comics - jedno z amerykańskich wydawnictw komiksowych. Stworzyło takie postacie jak np. Kapitan Ameryka, Spiderman czy grupa X-men. (przyp. tłum.).

4 DC - jedno z największych amerykańskich wydawnictw komiksowych, które wykreowało takie serie komiksowe, jak Superman, Batman czy Sandman, (przyp. tłum.).

ców, pomyślała, postanawiając nie zwracać uwagi na tego proporcjonalnie zbudowanego mężczyznę.

Wolała raczej skoncentrować się na jego wadach. O, na przykład jego nos... zdecydowanie zbyt wydatny. Ale zaraz dostrzegła ładny zarys tego nosa i uśmiezek, od którego tworzyły się drobne zmarszczki w kącikach ust. W sumie wydawał się sympatyczny.

Zgoda, facet wygląda nieźle, ale to nie powinno w ogóle jej obchodzić. Ma się zająć tą rodziną, a im szybciej złączą rundę pó sklepie, tym prędzej się od nich uwolni.

Stała blisko nich. Dwaj starsi nadal się sprzeczali, młodszy puszczał samolociki, a sympatyczny tatuś kontynuował rozmowę.

Na domiar wszystkiego z interkomu na cały regulator leciała znana kolęda, a słowa jej refrenu „i pokój na ziemi” zakrawały na ironię. Może na ziemi jest gdzieś pokój, ale z pewnością nie tutaj, w Harrington and Vine's. No i nie teraz. Może za parę godzin, kiedy za tą czwórką zamkną się drzwi.

Chrząknęła.

Komiksowa debata trwała, pan Hall nadal rozmawiał, śmiejąc się z czegoś, co usłyszał, tylko najmłodszy z chłopców podniósł głowę i wycelował w Joy jeden z papierowych samolocików. Zwinnie go złapała.

Dzieciak uśmiechnął się do niej. I chociaż Joy miała alergię na chłopców, wcale nie musiała się wysilać, żeby unieść kąciki warg.

- Możemy zabrać się za zakupy? - zapytała. Komiksowcy przerwali dyskusję w pół słowa, najmłodszy zgarnął samolociki i wepchnął je do tylnej kieszeni, a ojciec powiedział „dzień dobry” i zamknął telefon.

- Cześć - powiedziała, zdobywając się na uśmiech. - Nazywam się Joy O'Connell. Będę wam towarzyszyć w zakupach.

- Cześć, Joy. A ja jestem Edward Hall. - Mężczyzna wstał i zbliżył się do niej z wyciągniętą ręką-

Podawała mu swoją i wszystko byłoby dobrze, gdyby nie to, że od dotyku jego palców poczuła nagły przypływ adrenaliny, a jej serce zaczęło walić w nienormalnie szybkim tempie.

Joy zdławiła w zarodku to dziwne doznanie.

- Eee... miło mi, panie Hall.

- Doktor Hall - wtrącił najmłodszy. - Mój tata jest lekarzem. To znaczy nie takim prawdziwym lekarzem. Nie kroi i nie otwiera ludzi, i nie ogląda ich bebechów, nic z tych rzeczy.

Prawdziwy lekarz to robi. On tylko idzie do swojego gabinetu, a potem wraca do domu.

Nazywam się T.J. Złapałaś mój samolot jak chłopak, nie jak dziewczyna.

Ostatnie zdanie wymówił z odcieniem po-

dziwu, jakby to był najlepszy komplement, na jaki go stać.

Joy, która na widok chłopców dostawała wysypki, uśmiechnęła się szeroko.

- Powinieneś wiedzieć, że dziewczyny potrafią łapać, a nawet robić papierowe samoloty nie gorzej od chłopców, T.J.

Jeśli uda się jej przeżyć ten dzień, może zademonstruje mu, co potrafi.

Pan doktor wskazał ruchem głowy dwóch starszych chłopców.

- A to moi synowie...

- Pan Marvel Comics i pan D.C. - odpowiedziała Joy.

- Jake i Tim - dokończył doktor Hall.

- Cześć, Jake... cześć, Tim - przyjęła do wiadomości, kiwając głową. - Teraz, kiedy się już znamy, możemy zabrać się do roboty. Jamie okazała się na tyle przezorna, że zostawiła mi harmonogram waszych zajęć, który jest wyjątkowo napięty. Na początek<sup>v</sup> złożymy szybką wizytę świętemu Mikołajowi.

Liczyła na to, że uda jej się obudzić zainteresowanie chłopców, ale sądząc po niezadowolonych pomrukach, jakie wydali, chyba nic z tego nie wyszło.

- Nie przesadzajcie - powiedziała, usiłując wykrzesać z siebie choć odrobinę entuzjazmu i demonstrując szeroki uśmiech. - Chodzi tylko

*o parę reklamowych zdjęć. To nie takie straszne. Sfotografujecie się, a potem kolej na zakupy. Spojrzenie, jakie rzucił jej doktor Hall, mówiło dość wyraźnie, że mogą być z tym kłopoty. Joy była nawet skłonna ustąpić. Gdy holowała rodzinę najpierw do windy, a potem do miniaturowego miasteczka, gdzie rezydował święty Mikołaj, wymuszony uśmiech nie schodził z jej warg.*

*Z głośników płynęły słowa: „Przybądź, święty Mikołaju”, a Joy pomyślała, że powinny brzmieć: „Oto przybywa rodzina Hallów”.*

*Miała nadzieję, że święty Mikołaj jest przygotowany na najgorsze.*

## ROZDZIAŁ TRZECI

Okazało się, że święty Mikołaj nie był przygotowany na takie wygłupy. Podobnie jak Joy. Czy dla trzech chłopców i jednego mężczyzny ustawienie się obok świętego Mikołaja i zrobienie odpowiedniej miny do aparatu fotograficznego jest zbyt wielkim wysiłkiem? - Okazało się, że owszem.

Ze to jest po prostu niewykonalne.

- Tak mi przykro - setny raz powtórzył doktor Hall.

Było południe i stali w kolejce do baru kawowego, znajdującego się na wprost bocznego wejścia do sklepu. Chłopcy popędzili do działu ze sprzętem elektronicznym, a dwoje dorosłych próbowało odzyskać siły dzięki wzmacniającym właściwościom kawy.

- Nie ma sprawy. - Machinalnie powtarzała Joy, próbując zbagatelizować sprawę.

Żeby wypaść bardziej przekonująco, zaprezentowała zawodowy uśmiech. Wszystkie jej zapewnienia były oczywiście jednym wielkim kłamstwem. Zakupy okazały się taką samą torturą jak sesja zdjęciowa ze świętym Mikołajem.

Czekając na kawę, Joy z trudem utrzymywała pogodny wyraz twarzy.

Przeczytała gdzieś, że groźna mina uruchamia trochę mniej mięśni niż wymuszony uśmiech.

Nie bardzo w to wierzyła, ale ponieważ od stałego uśmiechania rozboleły ją mięśnie twarzy, postanowiła to sprawdzić. Na chwilę odwróciła się od doktora Halla i zmarszczyła wściekle brwi.

Jezu, co za ulga.

Odwracając się do gościa i próbując przywołać uśmiech na twarz, prawie jęknęła z bólu.

- Czterdzieści cztery - zawołała dziewczyna za ladą.

- To my - powiedział Ed i odebrał ich kawę. - Poszukamy stolika? Dobrze by było odpocząć chwilę i zebrać siły przed dalszą akcją.

- Może chłopcy sami coś znajdą, skoro trafili do działu z elektroniką?

Miała taką nadzieję. Byłoby cudownie, gdyby udało się zrobić zakupy w ekspresowym tempie. Potem jeszcze tylko szybki lunch i do domu...

Ed potrząsnął głową, kierując się do jedyne wolnego stolika.

- Nie liczylibym na to. To źle, że pozwoliliśmy im się urwać. Założę się, że kompletnie zapomnieli o kupowaniu prezentów dla przyrodniego rodzeństwa. Jedyne, co ich teraz absorbuje, to najnowsze gry komputerowe, sprzęt stereo i tak dalej. Kocham moich chłopców, ale nie mam złudzeń. Najpierw sami się obkupią.

- Świetnie - wymknęło się Joy. Zabrzmiało to jak jęk rozpaczny.

- Świetnie - spróbowała jeszcze raz, z większym entuzjazmem. - Mają się dzisiaj dobrze bawić. Jeżeli nawet wybierają prezenty tylko dla siebie, to i tak posuwamy się do przodu. A teraz, żeby nie tracić czasu, proszę mi przypomnieć, kogo jeszcze mają obdarować.

- Cóż... dwie młodsze przyrodnie siostry, matkę i ojczyrna, a także babcie i dziadków z obu stron.

- No i oczywiście pana, doktorze Hall.

- Ed - poprawił ją z uśmiechem. - Dwoje ludzi, którzy uszli z życiem po czymś takim, jak zdjęcia ze świętym Mikołajem, może śmiało przejść na ty. Mów mi Ed.

- A ty mnie Joy. - Wypiła duży łyk kawy i poczuła się odrobinę lepiej. - Masz jakiś pomysł na prezent dla ciebie, który mogłabym im podsunąć?

Jest lekarzem, pomyślała. Co robią lekarze dla przyjemności?



- Może sprzęt golfowy? - zaryzykowała.

- Nie gram w golfa.

- Ach, tak? - W porządku, podeszła do sprawy stereotypowo i nie trafiła. Jak widać, nie wszyscy lekarze grają w golfa.

Upiła jeszcze jeden łyk bardzo gorącej kawy.

- No więc, doktorze Ha... Ed - poprawiła się, widząc jego skrzywioną minę. - No więc, Ed, co jest twoją ulubioną rozrywką?

- Jestem tak zaabsorbowany chłopcami i ich sprawami, że jeśli nawet kiedyś miałem jakieś hobby, jeśli coś mnie bawiło, to dawno o tym zapomniałem. Pracuję, wykonuję ojcowskie obowiązki i... - urwał, jakby usiłował sobie przypomnieć, co jeszcze robi, po czym wzruszył ramionami. - Zdaje się, że trochę przynudzam. Ale dla mnie wszystko, co wiąże się z ojcostwem, jest zabawą i czystą radością,

- Nie przynudzasz - zaprzeczyła. - Jesteś dobrym ojcem, skoro stawiasz dzieci na pierwszym miejscu. Więc co ci mogą dać w prezencie, żeby cię uszczęśliwić?

- Uszczęśliwić? - prychnął.

Co to było?, pomyślała zdziwiona Joy. Czyżby niezadowolenie?- Czy pod maską świątecznie radosnego tatusia, który tak entuzjastycznie zapewniał ją, że pozowanie do zdjęć ze świętym Mikołajem to sama przyjemność, kryło się jakieś zniechęcenie?

Sama widziała, że nawet po dwudziestym ujęciu uśmiechał się szeroko, zapewniając, że tym razem żaden z synów nie przystawi rogów drugiemu, nie wywali języka ani nie szturchnie brata.

Może świąteczny entuzjazm doktora Halla jest udawany? Czyżby spotkały się dwie bratnie dusze? Postanowiła to sprawdzić.

- Nie czujesz jakoś serdecznej atmosfery jak pod świąteczną choinką?

- Chyba że jest to choinka uschnięta i kłująca. Tak to odczuwam dzisiaj... a właściwie przez cały okres świąt.

- A wyglądałeś tak entuzjastycznie i bojowo. Nawet w najgorszych momentach sesji zdjęciowej. - Zniżyła głos i sparodiowała Eda najlepiej, jak umiała: - „Chłopcy! To jest właśnie to zdjęcie!” - Roześmiała się. - W zagrzewaniu do boju prześcignąłeś samego świętego Mikołaja, co zresztą nie było trudne. Jestem pewna, że miał dość tej akcji już po pierwszym ujęciu. Nie należy chyba do najweselszych świętych Mikołajów. Prawdę mówiąc, jest najmniej sympatyczny ze wszystkich, z którymi miałam tutaj do czynienia.

- Po prostu udawałem, przykro mi - zwierzył się jej Ed konspiracyjnym szeptem. -

Myślałem, że potrafię wczuć się w bożonarodzeniowy nastrój, ale ponury święty Mikołaj zrobił swoje.

Zauważyłaś, z jakim upodobaniem ten człowiek powtarzał słowo „różga”? Jak jakąś mantrę. A kiedy chłopcy pociągnęli za sznurek, przytrzymujący jego brodę, dosadnie sprecyzował, co by im najchętniej dał na Boże Narodzenie. A kiedy ty go sparodiowałaś, mówiąc: „Ho, ho, ho, idą święta”, on mruknął pod nosem: „Wielka blaga”. Ed powoli sączył swoją kawę.

- I nawet wtedy święty Mikołaj był w bardziej świątecznym nastroju niż ja. Rzecz w tym, że jutro po południu mam odwiedzić chłopców do mojej byłej żony do Raleigh. Zostaną tam przez tydzień. Są co prawda nieznośni, ale będzie mi ich brakowało. Wiem, że to brzmi melodramatycz-nie, ale taka jest prawda. Doprowadzają mnie do szału, ale perspektywa ich nieobecności w czasie świąt odbiera mi całą radość z przeżywania tych cudownych dni.

- To wasze pierwsze Boże Narodzenie od czasu rozvodu? - zapytała ze zrozumieniem Joy. Wiedziała, jak bardzo brak rodziny może popsuć świąteczny nastrój.

- Nie. Rozwiedliśmy się parę lat temu, ale aż do tego roku moja była żona mieszkała w Charlotte, więc mogliśmy dzielić się chłopcami w dowolnych terminach. Parę godzin, a nawet cały dzień bez nich traktowałem jak wytchnienie, ale cały tydzień... zwłaszcza teraz... w czasie świąt?

- Potrafię to zrozumieć. - Joy czuła to samo, gdy myślała o swojej rodzinie. Te wszystkie świąteczne spotkania uznawała za męczące i przez następny rok od czasu do czasu marzyła, żeby gdzieś uciec i spędzić święta na przykład na meksykańskiej plaży. Ale kiedy się teraz okazało, że nie pojedzie do domu i nie weźmie udziału w rodzinnych przyjęciach, święta straciły dawny blask. - Naprawdę potrafię.

- Wiem, że nie powinienem narzekać - westchnął Ed. - Większość czasu chłopcy przebywają ze mną. Nie chcieli zmieniać szkół, a ja jestem wdzięczny Lenie za to, że pozwoliła im zostać w Charlotte, więc tym bardziej nie powinienem mieć żalu, że spędzą z nią ferie...

Joy czekała na dalszy ciąg: „ale będzie mi ich brakowało”, i po chwili się doczekała:

- Rozumiem, że po tej błazenadzie ze zdjęciami może ci się to wydawać dziwne, ale naprawdę będzie mi bez nich smutno.

Wypił kolejny łyk kawy i podniósł oczy do góry. Spotkali się wzrokiem i patrzyli długo na siebie, aż Ed powiedział:

- Przepraszam. Nie chciałem ci psuć świątecznego nastroju.

- Daj spokój. - Joy była niemal pewna, że powiedział to, żeby z niej zadrwić. - Nie sądzę, żeby można go było jeszcze bardziej zepsuć, nawet gdyby teraz miała nastąpić całodzienna

sesja zdjęciowa ze świętym Mikołajem. Ale mówiąc poważnie, coś jest na rzeczy.

- A wydajesz się taka radosna. - Tym razem to Ed wyglądał na zaintrygowanego. - Więc ty też oszukujesz?

- Jestem niezłą aktorką, prawda? To moje pierwsze Boże Narodzenie w Charlotte. Cała moja rodzina mieszka w San Diego, a jedyna koleżanka z Kalifornii - w Pittsburgu, i chociaż jestem pewna, że Morgan nie miałaby nic przeciwko moim odwiedzinom, to wydaje mi się za daleko. No i zostałam sama. Wszędzie panuje grypa i mniej więcej jedna trzecia mojego personelu jest na zwolnieniu, a do tego... - Joy zniżyła głos prawie do szeptu - ...choć się bardzo staram, kolędy doprowadzają mnie do szału, a jeśli jeszcze raz usłyszę słowa „świętecznie”, „wesoło” albo „radośnie”, przysięgam, że zacznę wrzeszczeć. A jeszcze te kolędy w rytmie rapu! - Joy otrząsnęła się ze wstętem, nie zamierzając rozwijać tego wątku.

- A wiesz, jak jest u mnie? Moja recepcjonistka jest w ciąży i lada dzień będzie rodzić, więc przez najbliższe trzy miesiące jestem zdany na zastępstwo.

Uśmiechnął się szeroko, jakby wyzywał Joy na pojedynek.

Cóż, mogą się pobawić w „czyje na wierzchu”. Policytują się, czyje święta będą bardziej parszywe.

- Ale, doktorze Hall...

- Ed - przerwał.

- No, dobrze... Ed - zgodziła się. - No więc, Ed, trzeba spojrzeć prawdzie w oczy: jestem kierowniczką sklepu i tylko zastępuję Jamie, która na ogół pomaga w zakupach w Harrington and Vine's. Jamie jest chora, a robienie zakupów z czterema facetami, z których trzech to smarkacze, nie należy do moich obowiązków. - Joy zaniepokoiła się, czy tymi ostrymi, pochopnie wypowiedzianymi słowami, nie obraziła Eda, ale on tylko się roześmiał.

- Głowę daję, że ma grypę, jak wszyscy dokoła. Joy potwierdziła skinieniem głowy.

- Niezłe, ale zaraz cię przebiję.

- Och, bardzo wątpię. Na razie idziemy łeb w łeb. Obojgu nam będzie brakowało rodziny, obojgu brakuje albo wkrótce zabraknie współpracowników. A co powiesz na robienie zakupów w Wigilię z czterema facetami?- Sam rozumiesz, że kładę cię na obie łopatki.

- Zaraz się przekonasz, że mam coś lepszego. Jak wiesz, muszę pomóc chłopcom kupić prezenty dla byłej żony, jej męża i ich dwojga dzieci. Nawet twoja awersja do kolęd...

- Nadają je, odkąd skończyło się Halloween, a firma nie pozwala ich wyłączyć aż do ostatniej godziny Bożego Narodzenia - przypominała Joy, chociaż znała już prawdę. Przegrała tę bitwę.

300

- Przykro mi - pokręcił głową Ed. - Kupowanie prezentów dla byłej żony i jej nowej rodziny przebija nawet trzy miesiące słuchania kolęd i wigilijne zakupy z nieznośnymi chłopcami. Wygrałem.

Joy wzniosła toast swoim cappuccino.

- Chylę czoła przed zwycięzcą i potwierdzam, że masz najbardziej parszywe Boże Narodzenie pod słońcem.

Kiedy się stuknęli plastikowymi kubkami, Joy uświadomiła sobie nagle, że ten dzień wcale nie okazał się tak bardzo parszywy. Po raz pierwszy od długiego czasu nie czuła się samotna i wcale nie chciało jej się stąd ruszać. Ale po chwili poczucie obowiązku przeważało. Wypiła ostatni łyk kawy i odstawiła puste naczynie.

- Wiesz co? Im szybciej uwiniemy się z zakupami, tym szybciej poprawi ci się humor.

- I tym szybciej ty wrócisz do swoich obowiązków i zapomnisz o koszmarze robienia zakupów z czterema facetami w Wigilię Bożego Narodzenia - zrewanżował się Ed.

Uznała, że mimo wszystko nie użyłaby słowa „koszmar” do opisanie swojego dzisiejszego doświadczenia.

- Szczerze mówiąc, myślałam, że będzie gorzej - przyznała.

- Jeszcze nie mów hop - zaśmiał się Ed. - Sesja zdjęciowa ze świętym Mikołajem to kaszka man-

**301**

na w porównaniu z nakłonieniem moich trzech gagatków do kupowania czegoś innego niż gry komputerowe i płyty DVD.

- Aż tak źle? - zapytała, tracąc tę odrobinę otuchy, która niedawno w nią wstąpiła.

- Jeszcze gorzej - skrzywił się Ed.



## ROZDZIAŁ CZWARTY

Kiedy w drodze do magazynu przeciskali się przez tłum, zadzwoniła komórka Joy. Ed dyskretnie odsunął się na bok, ale nie oparł się pokusie i raz czy drugi zerknął na Joy. Miała dość przeciętną urodę: nieokreślony kolor włosów - ni to brązowe, ni to blond - średni wzrost i miłe rysy, nieduży, lekko zadarty nos i jasnobrązowe oczy. A jednak Joy O'Connell wcale nie była przeciętna. Kiedy się przekomarzali przy kawie, emanowało od niej coś... czego Ed nie czuł od lat.

Oderwał się myślami od swojej zdecydowanie sympatycznej hostessy i spróbował ogarnąć wzrokiem centrum handlowe.

Podczas ostatnich godzin, jakie pozostały do zamknięcia King's Mall, ludzi ogarnęło zbiorowe szaleństwo. Biegali od jednego stoiska do drugiego, ścigali się z czasem, żeby tylko skreślić kolejne pozycje z listy zakupów.

Ed kupił wszystko parę tygodni temu. Już

nawet zapakował prezenty. Miotanie się w ostatniej chwili było sprzeczne z jego naturą i zupełnie mu nie odpowiadało.

Wziął się w garść, ale kiedy Joy wreszcie dołączyła do niego, znowu dały o sobie znać rozbudzone i szybko stłumione erotyczne doznania.

- Przepraszam - powiedziała Joy. - Czy zanim zgarniemy chłopców, moglibyśmy wpaść na chwilę do mojego biura? Muszę przejrzeć parę dokumentów i pewnie kilka podpisać.

- Nie ma sprawy - zapewnił Ed.

- Jesteś pewny?

Pomyślał, że po doświadczeniu z sesją zdjęciową Joy ma prawo nie ufać jego chłopcom i zadać mu takie pytanie, i nie miał jej tego za złe.

- Jake ma szesnaście lat. Liczę na to, że jeszcze przez parę minut utrzyma braci w ryzach. Zwłaszcza w dziale z grami.

Mówiąc to, Ed modlił się, żeby tak było naprawdę. Pewnie powinien wrócić i poczekać razem z synami, ale z przyczyn, których nie potrafił wytłumaczyć, nie chciał opuścić Joy.

- Świetnie - powiedziała z miłym i szczerym uśmiechem.

Może to przez ten uśmiech, przy którym znikła cała jej przeciętność, Ed nie chciał się z nią rozstawać. Uśmiech rozjaśniał jej twarz i kazał zapomnieć o niedostatkach urody.

Pomaszerowali w milczeniu w stronę biur zajmujących się obsługą klientów. Ed doszedł do wniosku, że Joy mu się podoba.

Już dawno mu się nic takiego nie zdarzyło.

Jasne, spotykał się z kobietami i zawsze zwracał uwagę na te urodziwe. W końcu nie przestał być mężczyzną, ale szkoda mu było czasu na sporadyczne kontakty.

Dotarli na pierwsze piętro, gdzie Joy wdała się w pogawędkę z recepcjonistką.

Ed przysłuchiwał się rozmowie.

- W porządku, Betty, chyba będę musiała się tym zająć - powiedziała w końcu Joy. - Właściwie to nie mam wyboru. Ale zaczynam się czuć jak przysłowiowa Kurka Złotopiórka, która wszystko robi sama. Tyle że znam zakończenie tej bajki i wiem, że nie tylko nikt mnie nie pochwali, ale jeszcze przybędzie mi pracy.

- Przykro mi, Joy. Sama bym to zrobiła, ale moje wnuki... - Betty zawiesiła głos.

Joy pokiwała głową.

- Wiem. Mogłabyś poprosić kogoś, żeby załadował to wszystko do mojego samochodu?

Kluczyki są w mojej torebce - powiedziała i podpisała jakieś pismo.

- Naturalnie - ucieszyła się Betty.

- W porządku. Ruszamy? - zapytała Joy, odwracając się do Eda. Nie czekając na jego odpowiedź, poszła z powrotem w kierunku windy.

305

- Co się stało? Jeszcze jedna chora pracownica? - zapytał.

Joy potrząsnęła głową, aż jej włosy rozsypały się w nieładzie.

- Tym razem zachorowała wolontariuszka. A raczej wolontariusze.

Ed z trudem się powstrzymał, żeby nie wyciągnąć ręki i nie poprawić jej włosów.

Wydawały się takie miękkie, że miał ogromną ochotę ich dotknąć. To pragnienie burzyło jego spokój.

Joy wyglądała na zagubioną, najchętniej wziąłby ją w ramiona i pocieszył, tak jak to robił z chłopcami, kiedy byli mali.

- A więc, jaka jeszcze praca cię dzisiaj czeka?

- Trudno to nazwać pracą. To może być całkiem fajna sprawa. Harrington and Vine's wspólnie z dyrekcją centrum patronują akcji „Tajemniczy święty Mikołaj”. Wolontariusze współpracują w tej akcji z różnymi firmami na terenie Charlotte i razem opiekują się ubogimi rodzinami, które nie mają nawet pojęcia, że zostały wybrane. W Wigilię Bożego Narodzenia wolontariusze zbierają prezenty od różnych firm i podrzucają je do domów tych rodzin. Tymczasem nasi pochorowali się na gripę, a główny organizator nie ma kogo tam posłać. Czyli albo załatwi to ktoś z naszej firmy, albo nikt. A to już byłby skandal.

Wzięliśmy na siebie samotną matkę dwojga dzieci, która wychowuje prócz tego

trójkę innych, pochodzących z wielodzietnej rodziny. Jeśli im nie pomożemy, pod ich choinką będzie pusto albo bardzo niewiele.

- Czyli to ty zostałaś wybrana na pomocnika świętego Mikołaja?

Joy wzruszyła ramionami.

- To mój obowiązek. Nie wyobrażam sobie, jak ta kobieta radzi sobie z piątką dzieci...

- Skoro ja z trudem radzę sobie z trzema... - powiedział Ed.

- No właśnie. Martwię się tylko, jak to zorganizować, żeby mnie nie nakryli.

- Kiedy masz dostarczyć prezenty?

- Sąsiadka tej kobiety ma klucze do jej mieszkania, a cała rodzina nie wróci do domu wcześniej niż przed trzecią. Chyba jednak będę musiała pojechać tam później i jakoś ukradkiem podrzucić te rzeczy.

- Albo...

- Co albo?

- Czy moglibyśmy ci pomóc? Możemy załadować wszystko do naszego vana. W piątkę uwiniemy się szybko i zdążymy podrzucić prezenty przed trzecią. Praca na ochotnika dobrze zrobi moim chłopcom, będzie też okazja, żeby ci pomóc.

- Doktorze...

Obrzucił ją karcącym wzrokiem, jak swoich chłopców, i aż się zdziwił, że to działa również na dorosłych.

- Ed, nie musisz tego robić. Na pewno miałeś inne plany.
- Nic takiego, co nie mogłoby poczekać godzinę albo więcej. Skoro ty mogłaś zmienić swoje plany, żeby komuś pomóc, my też możemy to zrobić. - Po chwili milczenia zapytał ponownie: - Skoro już jesteśmy przy planach... co robisz wieczorem? Bo my spożyjemy w domu miły rodzinny posiłek.
- Umiesz gotować? - odpowiedziała pytaniem Joy.
- Mam trzech chłopców, więc muszę umieć. A widziałaś kiedyś pałaszujących wyrostków?- Joy pokręciła głową.
- Zapewniam cię, że karmienie ich to prawdziwy horror. Musiałem się nauczyć dostarczać im jedzenie odpowiednio często i w ogromnych ilościach, w przeciwnym razie rzuciliby się na mnie. Ale przyznam się, że dzisiaj jedzenie przywiezie wypróbowana przez nas firma cateringowa. Czasami dobrze jest zrobić sobie odpoczynek, no i zjeść coś lepszego.
- A na co dzień czym ich karmisz? - Nie wytrzymała Joy.
- Powiedzmy, że pewna firma produkująca makaron i ser dzięki nam wychodzi na swoje.
- To i tak lepsze niż moja kolacja składająca się z sałatki z plastikowego pojemniczka - roześmiała się Joy. - Przynajmniej jadacie coś

gorącego. Może powinnam poprosić o adres tej firmy?

Ed wyjął z kieszeni kluczyki i podał je Joy.

- Najpierw zajmiemy się dostawą prezentów. Zaczekaj w vanie, a ja poszukam chłopców. Samochód stoi...

- Myślę - przerwała - że tobie łatwiej będzie go znaleźć. Mógłbyś podejść pod wejście dla personelu z drugiej strony centrum? Ja przez ten czas sprowadzę chłopców.

- Czy ty aby na pewno wiesz, co mówisz?

- Myślisz, że samodzielnie nie doprowadzę ich do vana?

- Myślę, że nie oderwiesz ich od gier komputerowych.

- Kieruję dużym sklepem, więc chyba poradzę sobie z trzema chłopcami.

Ed pozostawił to bez komentarza, wiedział, do czego są zdolni jego synowie, kiedy dorywają się do gier.

Kochał chłopców i rozumiał ich słabostki, a gry wideo zdecydowanie podpadały pod tę kategorię.

Żeby dostać się do vana, musiał przejść ponad pół kilometra. Niby nie tak dużo, ale chłód i ponura pogoda nie zachęcały do spaceru. Ciemne, złowieszcze chmury pasowały do jego nastroju sprzed rozmowy z Joy przy kawie. Miał nadzieję, że od tamtego czasu jej humor też się poprawił.

Kiedy zdał sobie sprawę z tego, że bardzo fałszując, gwizdże fragment popularnej kolędy, zachichotał w duchu.

Wsiadł do samochodu, włączył ogrzewanie i podjechał pod wejście dla personelu, gdzie, ku jego zdumieniu, czekała już Joy z chłopcami.

- Jezu, jak ci się to udało? - zapytał, zdumiony, że chłopcy tak ochoczo zaoferowali pomoc w ładowaniu prezentów do bagażnika. - Jestem ich ojcem i wątpię, czy oderwałbym ich tak szybko od gier. W ich wieku nie skutkuje już wizja otrzymania różgi od świętego Mikołaja.

- Nie wiem, jak to się stało - szelmowsko uśmiechnęła się Joy. - Powiedziałam tylko, że podobno zdjęcia ze świętym Mikołajem nie wypadły najlepiej i że trzeba je będzie powtórzyć, ale jeśli dostarczymy prezenty na czas, może uda się wybrać najlepsze i poddać stosownej obróbce. Od czego jest program photoshop!

- Przebiegłe z ciebie stworzenie, Joy O'Connell. - A po krótkiej przerwie dodał: - I nawet ci z tym do twarzy.

- Och, nie doceniasz mnie. Gdyby to nie podziałało, przywołałabym ich do porządku siłą!

- Tym bardziej doceniam twoją przebiegłość.

- Miałam w odwodzie coś jeszcze gorszego.

- Możesz mi zdradzić, co?

- Kolędy. Chciałam im je zaśpiewać. Na



310

początek wybrałabym rapową wersję „W żłobie leży”.

- Niewykluczone, że zanim skończy się dzień, ta kolęda stanie się twoją ulubioną - powiedział ze śmiechem, a Joy mu zawtórowała.

- Szczerze mówiąc, dzisiejszy dzień jest znacznie lepszy, niż przypuszczałam.

- Poważnie? - zapytał Ed.

Joy przytaknęła ruchem głowy i posłała mu uśmiech. Ten uśmiech rozgrzał te partie ciała Eda, które prawie spisał na straty, jako bezużyteczne i ulegające atrofii.

- Bez porównania lepszy - odpowiedziała niskim, seksownym głosem.

- Dla mnie też - wyznał. Uświadomiła sobie, że flirtuje z Edem.

Od kiedy jakiś czas temu zerwała z ostatnim partnerem, bo ich związek popadł w rutynę, rzuciła się w wir pracy. Była zajęta, ale zadowolona, choć po pewnym czasie...

Nadal jest zajęta i zadowolona, ale okazało się, że to nie wystarcza.

Zerknęła na Eda, który prowadził vana, ale zaraz odwróciła się, żeby zobaczyć, co porabia siedząca podejrzanie cicho trójka.

- Dla kogo są te prezenty? - zapytał Jake, czując na sobie wzrok Joy.

- Dla rodziny, której wszystkiego brakuje. Samotna mama z dwójką własnych i trójką

311

cudzych dzieci, które przyjęła do rodziny. Ich sąsiadka poddała myśl, że przydałoby im się trochę rzeczy, więc... - Ruchem głowy Joy wskazała bagażnik. - Nasz sklep ofiarował prezenty, a my je ukradkiem podrzucimy. Sąsiadka wpuści nas do mieszkania, położymy to wszystko pod choinką i znikniemy.

- Ale ta kobieta nie będzie wiedziała, że to od ciebie - zauważył T.J.

- Nie ode mnie, ale od Harrington and Vine's. A że rodzina się nie dowie, no cóż, o to właśnie chodzi. Czasami wystarczy świadomość, że zrobiło się coś pożytecznego.

- To prawda - przyznał Ed, zatrzymując vana przed niepozornym piętrowym domem z cegły.

Joy pokiwała głową.

- Poczekajcie, aż porozumiem się z sąsiadką, a potem zobaczymy, czy potraficie się szybko ruszać, chłopcy.

Podeszła szybkim krokiem do niedużego domu w farmerskim stylu i zapukała do drzwi.

Otworzyła jej siwa pani o promiennym uśmiechu.

- Wesołych świąt - powiedziała zamiast powitania.

- Pani Jeffreys? - zapytała Joy, na co kobieta przytaknęła ruchem głowy. - Jestem Joy O'Con-nell z Harrington and Vine's.

- O Boże, udało się! - klasnęła w dłonie siwa pani. - Kobieta, z którą rozmawiałam przez

telefon, powiedziała, że wolontariuszka jest chora. - Gdyby to było możliwe, pani Jeffreys uśmiechnęłaby się jeszcze szerzej.

- To prawda, dlatego ją zastępujemy.

- Cudownie, cudownie. Będą tacy zdziwieni. Już biorę klucze i żakiet.

- Powiem chłopcom, żeby zaczęli wypakowywać. - Joy pobiegła z powrotem do vana. - To tu. Zaczniemy opróżniać samochód. Pani Jeffereys zaraz nam otworzy drzwi.

Ed i chłopcy zanurkowali w bagażniku. Zaczęli wyładowywać sterty paczek i stawiać je przed frontowym gankiem.

- O rany! Pada śnieg! - krzyknął T.J.

- Nie nazwałbym tego padaniem - zauważył Ed. Miał rację. Z nieba sfruwały duże, mokre płatki, które w zetknięciu z asfaltem natychmiast topniały. Po chwili w ogóle przestało padać.

- Ojej, już po wszystkim - zmartwił się Tim, patrząc tęsknym okiem na niebo, jakby w oczekiwaniu na więcej.

- Opamiętajcie się, przecież jesteśmy w Północnej Karolinie. Tutaj coś takiego uważa się za śnieg - powiedziała Joy, zonglując paczkami.

- Dopóki nie będzie można lepić pigułek, nie traktuję tego jako śnieg - mruknął Jake, uśmiechając się z nadzieją.

Pani Jeffereys szybkim krokiem przemierzyła ganek.

313

- Śpieszmy się - zawołała, otwierając frontowe drzwi.

- Układamy to wszystko pod choinką i zmykamy - poinstruowała swoją załogę Joy.

Choinka wyglądała bardzo oryginalnie. Od razu było widać, że ubierano ją starannie i z troską. Przeważały ozdoby wykonane w szkole: gwiazdy z kolorowego papieru ze zdjęciami szkolnymi pośrodku, bałwany z kulek waty, a także zabawnie i z fantazją przerobione pokrywki po mrożonym soku pomarańczowym, ozdobione pomysłowymi wzorami.

- Zdolne dzieciaki - powiedziała Joy cicho. Uklękła na podłodze i zaczęła rozmieszczać prezenty pod drzewkiem.

- Prawda? Zawsze przynoszą ze szkoły coś ciekawego - powiedziała pani Jeffereys. - Anne od lat nie widziała drzewek swojej lodówki, która jest od góry do dołu pokryta małymi dziełami sztuki. Ja też dostaję od nich różne ładne rzeczy, które sami robią.

- Pod jednym względem ta choinka przypomina mi naszą - odezwał się Ed, kładąc swoją stertę prezentów pod drzewkiem. - Na czubku umieściłem anioła, którego T.J. zrobił w przedszkolu.

- Tato! - krzyknął oburzony T.J.

Joy podniosła głowę i zobaczyła, że Ed uśmiecha się od ucha do ucha

314

- Wydaje mi się, że o aniołach, które nastolatek robił w przedszkolu, nie powinno się opowiadać w miejscu publicznym - zwróciła mu uwagę.

- Tak samo, jak nie powinno się wieszać na choince - zażartował Jake. - Tata staje się sentymentalny, kiedy zdejmuje z pawlacza pudełka i wyjmuje z nich stare zabawki. A kiedy dochodzi do papierowego krążka, na którym Tim napisał: „Dla najlepszego taty na świecie”, przysięgam, że ma łzy w oczach.

- Może się i rozklejam, ale na pewno nie płaczę - oburzył się Ed prawie identycznie jak przed chwilą T.J. - Poza tym, co w tym złego, gdy ojciec się cieszy, że dzieci chciały mu zrobić przyjemność?

Chłopcy przewrócili jednocześnie oczami. Joy zaczęła podnosić się z kolan, a Ed podał jej rękę.

- Gwarantuję wam, że przyjdzie taki dzień, kiedy zrozumiecie swoich rodziców - zapewniła chłopców.

Sceptyczne miny całej trójki braci rozśmieszyły dorosłych.

Joy uświadomiła sobie, że coś trzyma w ręku i spojrzała na dół. To była dłoń Eda. Do licha, jak to się stało?

Puściła ją, jakby to był gorący kartofel.

To prawda, pomagał jej wstać, a potem oboje

315

jakoś zapomnieli o tym, że już nie muszą trzymać się za ręce.

Teraz Joy wołała nie patrzeć w jego stronę.

- No, chłopcy - zawołała - dokończmy to, zanim ktoś wróci do domu.

Żeby wnieść wszystko, potrzeba było jeszcze paru rund. Potem sprawdzili, czy wszystko wygląda idealnie.

- Odwaliliście kawał dobrej roboty - pochwaliła chłopców Joy. - A skoro mowa o pracy, co byście powiedzieli na powrót do sklepu i zajęcie się waszą listą zakupów?

Chłopcy zawołali „hurra” i omijając dorosłych, pobiegli do vana.

- Naprawdę serdecznie wam dziękuję - powiedziała pani Jeffreys, zamykając drzwi na klucz. - To naprawdę wyjątkowa rodzina i wiem, ile będzie dla nich znaczył taki wspinałomyślny gest.

- Cieszymy się bardzo, że mogliśmy pomóc - zapewniła Joy.

Ruszyli z Edem w stronę samochodu.

- Joy? - odezwał się Ed.

Udała, że nie słyszy jego cichego głosu, który brzmiał dziwnie intymnie. Kiedy przypomniała sobie swoją pierwszą ocenę atrakcyjności Eda, poczuła się niezręcznie. Do cholery, przecież jest w pracy, a nie na randce.

- Chłopcy, jedziemy - zawołała, jak gdyby nigdy nic.

**316**

- Jeszcze chwileczkę - poprosił T.J. Zawrócił na ganek i położył na krześle garść papierowych samolocików, które miał w tylnej kieszeni.
- Może się spodobają tym dzieciom - powiedział i zbył swój gest wzruszeniem ramion. Przez chwilę, naprawdę krótką, Joy miała ochotę wziąć Eda za rękę i uścisnąć ją. Zamiast tego spojrzała mu w oczy i uśmiechnęła się.
- Miły dzieciak - powiedziała prawie bezgłośnie. Ed pokiwał głową na znak zgody.
- No, chłopcy, pora ruszać na zakupy.

## ROZDZIAŁ PIĄTY

- Wasz tata coś wspomniał, że sporządziliście listę zakupów. Może zaczniemy od sklepu z zabawkami i załatwimy prezenty dla waszych przyrodnich sióstr.

- Nie moglibyśmy po prostu kupić im obu konsoli do gier? - zapytał Tim.

Jake pokiwał głową z aprobatą.

- Najlepiej dwuekranową, z odświeżoną wersją Nintendo DS.

Widać każdy chciał dodać coś od siebie.

- Albo przenośną konsolę do gier firmy Sony - zawołał T.J.

Oczyma duszy Joy widziała już kolejną sprzeczkę, taką, jak ta o komiksy. Żeby temu zapobiec, szybko wtrąciła:

- Kiedy kupuje się komuś prezent, powinno to być coś, co sprawi mu radość. Czy naprawdę uważacie, że wasza siostrzyczka pragnęłaby otrzymać przenośny aparat do gry?



- Chyba tak - zawahał się Tim.

- Eee, raczej nie. Ona dopiero nauczyła się chodzić. Założę się, że nawet nie potrafi utrzymać urządzenia sterującego. Ale uwielbia wszystkie telewizyjne filmy dla dzieci. Może by jej kupić jakąś jej ulubioną postać, na przykład któregoś z pluszowych zwierzątek, które występują w tych filmach? - poddał myśl Jake.

Chłopcy zaczęli się spierać, co ich siostrzyczka lubi najbardziej. Więcej było przy tym śmiechu i przekomarzania się niż kłótni. Bardzo przypominali Joy jej własnych kuzynów. Znow pomyślała o rodzinie i zateśniła. Zateśniła za całym klanem O'Connellów, nawet za wujem Fredem, zwłaszcza za nim.

A to już było dziwne, bowiem recepta wuja Freda na wesołe święta wiązała się z butelką wina - butelką, którą musiał samodzielnie opróżnić każdego roku do dna. Kiedy był mniej więcej w połowie, zaczynał śpiewać sprośne piosenki. Kiedy dochodził do przeboju „Honky Tonk Woman”, można było śmiało zaryzykować przypuszczenie, że przyjęcie dobiega końca.

Przez całe lata Joy czuła się zażenowana, gdy wuj Fred znajdował się w stanie upojenia alkoholowego, ale w tej chwili ni stąd, ni zowąd naszła ją ochota, żeby posłuchać jego sprośnej piosenki o babci, która udała się w podróż z reniferem. Ta niewybredna piosenka w jego inter-

pretacji na pewno byłaby lepsza od większości kolęd, które była zmuszona słuchać w tym ekskluzywnym centrum handlowym.

- Chłopcy, dajcie już spokój. - Głos Eda wyrwał Joy z zadumy i wspomnień minionych świąt Bożego Narodzenia. - Pamiętajcie, że panna O'Connell wspaniałomyślnie zastąpiła chorą na gripę koleżankę. Sama ma wiele spraw na głowie, a jeszcze musi przez cały dzień oprowadzać nasze stadko po sklepie.

Jeszcze nie tak dawno Joy podchodziła do sprawy identycznie, ale od jakiegoś czasu jej nastawienie zmieniło się dość radykalnie. Uśmiechnęła się do chłopców, żeby dodać im otuchy.

- W porządku, a więc najpierw udamy się do działu z zabawkami dla młodszych dzieci. Przyszły wam do głowy jakieś nowe pomysły?

- Tak - przyznał Jake. - Pomyśleliśmy, że zrzucimy się we trzech i kupimy sobie wspólny prezent. Nową konsolę do gier z różnymi akcesoriami. Policzyliśmy dokładnie, włącznie z sumą na przyjemności każdego z nas, dodaliśmy wszystko razem i wyszło na to, że wystarczy na zakup tego fantastycznego urządzenia. Czy możemy tak zrobić, skoro mieścimy się w budżecie?

- Oczywiście - zapewniła Joy. - To zależy tylko od was. Miło, że chcecie wspólnie zainwestować. Tylko nie zapominajcie, że jeszcze jest

długa lista osób do obdarowania. Co z nimi zrobicie? Macie jakiś pomysł?

Trzej ciemnowłosi bracia pokręcili przecząco głowami, a najmłodszy zrobił to tak energicznie, że Joy zaniepokoiła się, czy chłopiec czegoś sobie nie uszkodził.

- No to do roboty - zaordynowała ponownie, przywołując świąteczny entuzjazm. - Zacznijmy od działu z zabawkami, a może przez ten czas wpadną wam do głowy nowe pomysły.

Gdy mijali dział z elektroniką, Joy zatrzymała sprzedawcę i poprosiła, żeby odłożył na bok najnowszą konsolę do gier, o której wspomnieli chłopcy.

- Nie ma sensu nosić się z takim pudłem przez resztę dnia - wyjaśniła Edowi.

Ed został trochę w tyle, podczas gdy chłopcy popędzili przodem..

- Przepraszam, że to wszystko tak długo trwa - zwrócił się do Joy. - Jeśli chcesz, sam zrobię z nimi zakupy, a potem zadzwonię po ciebie, żebyś obejrzała i zaakceptowała prezenty.

- Zabawne... gdybyś poprosił mnie o to z samego rana, pewnie bym skorzystała z propozycji. Ale teraz? No cóż, powiedzmy sobie wprost, że ta akcja nie jest taka straszna, jak się początkowo obawiałam.

Ed zerknął znacząco w stronę synów.

- Naprawdę?

- Naprawdę.

321

Wpadła w prawdziwie radosny nastrój, który trwał do momentu spotkania z chłopcami.

Właśnie klócili się o to, jaka gra będzie najlepsza do nowego systemu.

- Czy chodzi o to, kto kogo przekrzyczy?

- zapytała Joy.

Ed pokiwał głową, rzucił chłopcom groźne „ojcowskie” spojrzenie i nawet mruknął ostrzegawczo „chłopcy” tonem mającym ich zachęcić do współpracy z Joy.

Bracia chyba nie bardzo się tym przejęli. Co prawda trochę się wyciszyli, i, jak zauważyła Joy, sprzeczali się teraz szeptem, ale ilekroć ojciec spuszczał ich z oczu, poszturchiwali się i częstowali kuksańcami.

- Może opuścimy na razie ten dział, bo przecież zawsze możemy tu wrócić. Powiedzcie, co sądzicie o takim prezencie dla waszej czteroletniej siostrzyczki? - zapytała Joy, podnosząc do góry lalkę w stroju księżniczki.

- Eee, ona nie lubi dziewczyńskich zabawek, bo to chłopczyca - upierał się T.J. - Wiem, pani myśli, że jej się to spodoba, ale tato, ona na pewno będzie wołała...

- Niech zgadnę - wszedł mu w słowo Ed.

- Czy nie jakąś grę komputerową?

Trzy głowy przytaknęły równocześnie identycznym, zautomatyzowanym ruchem.

- Więc może ustalmy, czy macie na liście

zakupów kogoś, kto nie chciałby dostać elektronicznej gry? - ironicznie zapytała Joy. Ciepłe rodzinne wspomnienia gdzieś odpłynęły, zniknęły także resztki radosnego nastroju, w jaki ją wprowadziło podrzucenie prezentów nieznamym rodzinie. Przypomniała sobie za to, że po entuzjastycznych powitaniach, pełnych pocałunków i okrzyków, wizyty najmłodszych członków jej rodziny do złudzenia przypominały to, co miało miejsce tutaj. Aha, jeszcze jedno - wuj Fred fałszował.

Okropnie fałszował.

- To prawda, że mała dziewczynka może wolałaby dostać coś innego niż sprzęt elektroniczny - przyznał Tim. - To znaczy... to nie takie proste, bo ona ciągle jeszcze wkłada wszystkie zabawki do buzi. A ty, tato, zawsze mówiłeś, że nie łączy się wody z elektrycznością.

- Ma się rozumieć. Zasada numer jeden - podpowiedział Jake.

Ed wyglądał na lekko zakłopotanego.

- Zacząłem o tym mówić po tym, jak Tim doszedł do wniosku, że jego rybka chciałaby posłuchać radia i wrzucił ją do czołgu... to znaczy radia w kształcie czołgu. Do radia na prąd, nie na baterie!

Joy żałowała, że nie przyniosła ze sobą filiżanki kawy. Może porcja kofeiny podtrzymałaby jej upadającego ducha, choć nie sądziła, żeby była

w stanie wymazać z jej umysłu obraz porażonej prądem rybki.

- Przestań - zaprotestował Tim. - Miałem wtedy tylko sześć lat i nie za bardzo się na tym znałem.

- Jasne, to prawda - włączył się Jake. - Ale dzięki tej usmażonej rybce i przepalonemu bezpiecznikowi zasada: „Woda i elektryczność nie idą w parze” pojawiła się na tablicy.

- Na tablicy? - zdziwiła się Joy.

- To tata wpadł na ten genialny pomysł. Sporządził nam listę pod tytułem „Szkoła życia”, czyli spis zasad, które nas ustrzegą przed różnymi wpadkami. - Tim powiedział to takim tonem, jakby powątpiewał w sens takiego praktycznego poradnika.

- Ustawił tę tablicę w piwnicy - wyjaśnił T.J. - i dał podtytuł: „Praktyczne porady dla rodziny Hall”.

Ed wyglądał na bardzo zakłopotanego.

- Wystarczy, chłopcy. Jestem pewny, że panna O'Connell chciałaby już skończyć z zakupami i móc wrócić do pracy.

- Prawdę mówiąc, nie muszę. Jestem za to zafascynowana twoimi życiowymi radami. Co jeszcze widnieje na tej tablicy?

Bracia odpowiedzieli wszyscy naraz, ale T.J. był najgłośniejszy:

- „Codziennie zmieniaj bieliznę osobistą”.

Wymyśliłem to sam, po tym, jak tata zrobił pranie z całego tygodnia, a potem nie mógł znaleźć ani jednej sztuki z mojej bielizny. - T.J. przerwał na chwilę, po czym dodał poważnie:

- Teraz już z niej wyrosłem.

- Jest jeszcze zasada codziennego mycia się pod prysznicem o tej samej ustalonej porze

- oznajmił Ed.

- No i jeszcze nie strzelaj płonącymi strzałami... to chyba dwudziesta trzecia zasada! - wykrzyknął Jake.

- Niech zgadnę, to był twój pomysł? - zapytała go Joy.

- Prawdę mówiąc, wprowadzenie tej zasady to sprawka moich przyjaciół... Katie, Joeya i Ryana.

- Nie zapominaj, że ty też tam byłeś i że nie wyczułeś niebezpieczeństwa - zwrócił mu uwagę Ed. - To dlatego dodaliśmy zasadę dwudziestą czwartą: „Jeżeli twoi znajomi robią coś niebezpiecznego, każ im przestać albo pobiegnij powiadomić dorosłych”.

- Z tym powiadamianiem różnie bywa, no, ale czasami trzeba to zrobić - przyznał Jake, który w tej chwili wyglądał bardzo dorośle.

Nastroje wyraźnie się poprawiły.

Tim uśmiechnął się od ucha do ucha i zerknął na ojca, jakby z góry zakładał, że Ed udzieli mu reprimendy.

- No i jeszcze jest zasada numer osiemnaście:

„Jeśli wydasz nieprzyzwoity dźwięk, po prostu przeproś”. Sam to wymyśliłem. Nauczyłem się zwrotu: „Proszę mi wybaczyć, to nie było eleganckie, ale gdyby wyszło z drugiej strony ciała, byłoby...”

- Już dobrze - przerwał Ed. - Jestem absolutnie przekonany, że już dostatecznie oświeciliście pannę O'Connell na temat praktycznych zasad życia rodziny Hallów.

- Szczerze mówiąc, podobają mi się - zaśmiała się Joy.

W tym momencie z głośników popłynęła rapo-wa wersja piosenki „Życzymy wesołych świąt”.

- Kiedy znajdziecie się w domu, możecie jeszcze dopisać: „Żadnych kolęd aż do święta Dziękczynienia” - zaproponowała Joy.

- „I żadnej rapowej kolędy” - dodał Ed, posyłając Joy ukradkowy, przeznaczony tylko dla dorosłych uśmiech, który odwzajemniła.



## ROZDZIAŁ SZÓSTY

Było po wpół do trzeciej. Chłopcom udało się wreszcie wybrać dwa prezenty dla Hannah, lubiącej obgryzać zabawki przyrodniej siostrzyczki. Do lalki w stroju księżniczki dołożyli jeszcze futbolówkę, bo doszli do wniosku, że ich siostra nie powinna być za bardzo dziewczynska.

- Chłopcy lubią dziewczyny, które uprawiają sport - wyjaśnił Jake tonem wszystkowiedzącego mędrca.

Lalka, piłka, a do tego dwie srebrne ramki, które wypatrzyli w sąsiednim dziale z wyposażeniem domu - po jednej ramce dla każdej pary dziadków - to było wszystko, co zdobyli po godzinnych poszukiwaniach.

Kiedy Ed powiedział, że ma zdjęcie trzech braci, pasujące do ramek, Joy zaśmiała się tajemniczo i powiedziała, żeby zdali się na nią.

Przyglądał się jej podejrzliwie, kiedy podeszła do jednej z pracownic i szeptała jej coś do ucha.

Ta z kolei spojrzała na Eda, zaśmiała się i szybko oddaliła.

Patrząc na Joy, Edowi przyszło do głowy zaskakująco sentymentalne porównanie: uznał, że wygląda jak aniołek ze świątecznej szopki. Po prostu uosobienie słodczy. Tylko wyraz jej twarzy przeczył temu wrażeniu. Miała zadowoloną minę, jak kot, który dobrał się do śmietanki.

- Co ty knujesz? - zapytał podejrzliwie, kiedy wróciła.

- Nic- zamrugła oczami, udając niewiniątko. Takich technik nie praktykowali jego chłopcy, jednak Ed zorientował się, że to jakiś wybieg, mający uspić jego czujność.

- Zatrudniam w gabinecie dyplomowaną pielęgniarkę, która ma taką samą minę, kiedy wpadnie na jakiś szalony pomysł. Em ma specyficzne poczucie humoru, i uwielbia mi robić kawały.

- Ach, tak? Na przykład jakie? - Joy nachyliła się w jego stronę, cała zamieniając się w słuch.

- Dobra jesteś! - Ed potrząsnął głową. - Myślisz, że podsunę ci pomysł? Nie ma mowy. Zdążyłem się już przekonać, że potrafisz być niebezpieczna. I nie zaprzeczaj, bo dobrze widzę, że coś knujesz. Jestem ojcem trzech chłopców i na odległość wyczuwam, gdy się szykuje jakiś kłopot.

- Ze mną nie będzie kłopotu - zapewniła i przybrała jeszcze bardziej niewinną minę.

Uśmiechnęła się tak uroczo, że zapragnął ją pocałować.

Sam fakt, że taka myśl mogła zrodzić się w jego głowie, zdumiał go niepomieranie.

Od dawna nie miał ochoty na takie rzeczy. Dzielił swój czas między chłopców i pracę. Pewnie, spotykał się z kimś od czasu do czasu i całował się z niektórymi z tych kobiet, ale nie było w tym takiej siły przyciągania. Takiego pożądania.

Próbując ukryć zakłopotanie, zwrócił uwagę na synów.

Byli w trakcie kolejnej sprzeczki, dyskutując zawzięcie nad zaletami Sea-Monkeys<sup>3</sup> dla drugiej przyrodniej siostry.

Chociaż raz ich kłótnia była Edowi na rękę. Dzięki temu mógł przestać myśleć o ustach Joy O'Connell.

- Ale ona wszystko pcha do buzi. - Jack podsunął opakowanie Edowi. - Jesteś lekarzem. Jak myślisz, czy zjedzenie tego by ją zabiło?

Ed odłożył paczkę na półkę.

- Jeśli się obawiacie, że mogłaby to połknąć, nie powinniście jej tego kupować.

- No proszę! Tutaj nie ma nic, co by się nadawało - powiedział T.J. - Czyli że...

---

<sup>3</sup> Sea-Monkeys - lekkie plastikowe akwarium z licznymi akcesoriami do karmienia, hodowli i obserwacji morskich żyjątek (przyp. tłum.).

- Wracamy do elektroniki? - z nadzieją w głosie zapytał Jake.

Joy spojrzała na zegarek.

- Słuchajcie, a może najpierw zrobimy przerwę na lunch? Mamy drobne opóźnienie z powodu przewożenia prezentów, ale lunch to część waszej nagrody. Podejrzewam, że umieracie już z głodu.

Ed chciał zaprotestować, obawiając się, że w ten sposób ich pobyt w galerii handlowej rzeczywiście zamieni się w całodniową wyprawę. Powstrzymał się jednak. Stanowczo szansa spędzenia dnia z Joy, nawet podczas zakupów, była miłą perspektywą. Zresztą wolał nie protestować, bo entuzjastyczne „hurra!” chłopców nie dawało mu żadnych szans.

- No to idziemy! - z uśmiechem zarządziła Joy, na co chłopcy, o dziwo, ustawili się w rzędzie i pomaszerowali za nią.

- Przecież odrywamy cię od zajęć - bez przekonania oponował Ed.

- Jeszcze się napracuję. W pierwszy dzień po świętach na wyprzedaży będą tłumy. Poza tym, gdyby raptem nastąpiło jakieś trzęsienie ziemi, wywołają mnie pagerem. Nakarmimy ich, a potem, odpowiednio zainspirowani, zrobimy wielkie zakupy w...

- ... dziale ze sprzętem elektronicznym - dokończył za nią.

Zaśmiali się równocześnie, a jego znów ogarnęła nieprzeparta ochota pocałowania jej. Zatrzymali się, zostając w tyle za dziećmi. Patrzyli sobie w oczy przez sekundę, minutę... może dłużej?

Jednocześnie zrobili krok w swoją stronę i przez chwilę zdawało się, że naprawdę się pocałują w zatłoczonym sklepie, gdy Joy nagle się cofnęła. A Ed poczuł gorzki smak rozczarowania.

- Tak, w dziale ze sprzętem elektronicznym

- powtórzył. - Możemy tam zakończyć, a potem odwiozę cię, dokąd zechcesz, na wigilijną kolację.

Pamiętał, jak mówiła, że cała jej rodzina mieszka w San Diego.

- Masz dokąd pójść? - zainteresował się.

- Słucham? Eee... no to chodźmy na lunch

- powiedziała wesoło, nie odpowiadając na jego pytanie.

Jest nowa w mieście, ma rodzinę na Zachodnim Wybrzeżu, pomyślał Ed. Ciekawe, co zamierza robić w święta. Czy spędzi je sama?

Najwyraźniej Joy nie ma ochoty dzielić się swoimi planami z prawie obcym facetem. Ale podejrzenie, że mogłaby samotnie spędzić Boże Narodzenie, nie dawało Edowi spokoju.

- Po drugiej stronie galerii znajduje się restauracja Patty's - zaproponowała.

- Mają tam dobrą pizzę - pochwalił Tim.

Jake i T.J. zgodzili się z bratem.

- A więc Patty's wam odpowiada? - upewniła się Joy.

Kiedy torowali sobie drogę, Ed nagle znalazł się przy niej.

- Zdaje się, że robi się coraz tłoczniej - powiedział i westchnął.

- Obawiam się, że masz rację. Dużo ludzi lubi czekać na ostatnią chwilę. Jakby zakupy w ścisku sprawiały im przyjemność. Zupełnie tego nie rozumiem.

Weszli całą grupą do restauracji. Powitała ich hostessa, zaprowadziła do przestronnego boksu, podała karty dań i postawiła przed nimi koszyczek z bułeczkami.

- Zaraz podejdzie kelnerka - poinformowała z uśmiechem i odeszła.

- Słuchajcie, chłopcy, jemy szybki lunch, a potem jeszcze szybciej uwijamy się z zakupami - zarządził Ed, siedzący naprzeciw Joy.

Chłopcy zaczęli porównywać swoje zamówienia. Ed próbował skupić się na menu i wybrać coś, co okaże się jadalne, ale ciągle łapał się na tym, że spogląda na Joy.

Kiedy z głośników popłynęły dźwięki piosenki „Rudolf, czerwono nosy renifer”, dostrzegł grymas niechęci na jej twarzy.

- Skoro już się krzywisz na kolędy, to czego będziesz słuchać w czasie świąt? - zainteresował

się. A potem, nie spuszczać wzroku z Joy, warknął: - Numer piętnasty!

- Piętnasty? - zapytała Joy z ironią w głosie.

- „Nie obrzucamy się jedzeniem” - wyjaśnił jej.

- Umieram z ciekawości, który to sprowokował - na wpół zapytała, na wpół stwierdziła Joy.

- Wystarczy, jeśli ci powiemy, że w mieście istnieje pewna sieć restauracji, gdzie mamy zakaz wstępu. Dożywotni zakaz wstępu. I to nie tylko tutaj, w Charlotte, ale w całej sieci, absolutnie wszędzie. W całym kraju.

- Kierownik coś wspominał, że na całym świecie, tato - dodał usłużnie Jamie.

- Myślisz, że rozesłali nasze zdjęcia do wszystkich restauracji tej sieci? - z nadzieją w głosie zapytał Tim. - Pewnie prowadzą rejestr osób, które otrzymały zakaz wstępu. A gdyby któryś z nas tam wszedł i został rozpoznany, to wezwaliby policję?

- Ale byłoby fajnie - ucieszył się T.J. - Może namówimy mamę, żeby nas tam zabrała, kiedy będziemy w Raleigh.

- To jest myśl! Jak będziemy w dużej grupie, może szef nas nie rozpozna - rozmarzył się Tim.

- Tak naprawdę, to oni nie mają nigdzie naszych zdjęć. A bitwa na jedzenie była odlotowa! - wspomniał z lubością Jake.

Ed rzucił chłopcu pełne dezaprobaty spojrzenie, ale Jake niezrażony kontynuował:

- Nie mówię, że jesteśmy z tego dumni. „Zasada numer piętnaście powinna być przestrzegana przede wszystkim w miejscach publicznych” - zacytował bez zająknięcia.

Joy nie wytrzymała i wybuchnęła śmiechem, co może było niezbyt pedagogiczne; ale już dawno nic jej tak nie rozbawiło.

Stres spowodowany przeprowadzką na drugi koniec kraju, nowa praca, no i te święta - wszystko razem nie wpłynęło zbyt dobrze na jej poczucie humoru.

- Mam dla was nową zasadę, o ile, oczywiście, ludzie spoza rodziny mogą wam coś sugerować - odezwała się.

- Jasne - odpowiedzieli chórem chłopcy, a Ed uśmiechnął się i pokiwał głową.

- „Śmiejemy się przynajmniej raz dziennie, niezależnie od tego, jak bardzo stresujące bywa życie”.

Nieźle, przekazał jej Ed wzrokiem pełnym podziwu.

Podziękowała mu skinieniem głowy. Tymczasem chłopcy przekrzykiwali jeden drugiego, zabiegając o jej uwagę.

Zamilkli tylko na chwilę, kiedy pojawiła się kelnerka i musieli złożyć zamówienia.

Joy popijała wodę, słuchając, jak chłopcy rozmawiają o rówieśniku z sąsiedztwa, który rozśmiesza wszystkich swoimi wygłupami.



- Aleśmy się pokładali ze śmiechu, prawda, tato? - wspominał T.J.

Ed żarliwie przytaknął.

- W przyszłości mogą zostać komikami - powiedziała Joy do Eda, kiedy na moment zrobiło się cicho.

- Przypuszczam, że oni wszyscy wylądują w branży rozrywkowej... albo skończą za kratkami. Nie widzę żadnego pośredniego wyjścia - zażartował.

Kiedy już zjedzono główne danie, chłopcy rozmawiali o szkole, o świętach, po czym wypłynął temat zbliżającego się wyjazdu do mamy.

- Ona tęskni za nami - powiedział T.J. - Kiedy mieszkali w mieście, było lepiej.

- Zrobiła wszystko, co było w jej mocy. - Jake popatrzył agresywnie na wszystkich, jakby w obawie, że ktoś temu zaprzeczy.

- Tak, to prawda - przyznał Ed. - Pozostawienie was ze mną było jedną z najtrudniejszych decyzji, jaką kiedykolwiek podjęliśmy.

Joy odnotowała, że Ed rozkłada równo odpowiedzialność na siebie i byłą żonę. Robi to niewątpliwie w trosce o chłopców, dla których jednomyślność rodziców musi mieć wielkie znaczenie, a przy tym podkreśla, że decyzja należy do dorosłych, a nie do nich.

Joy stwierdziła, że coraz bardziej podziwia i szanuje tego mężczyznę.

- Powinniśmy kupić mamie coś wyjątkowego
  - uznał Tim.
  - Coś, co jej da do zrozumienia, że tęsknimy za nią, ale nie mamy żalu - dodał Jake.
  - Hej, Joy, co lubią dziewczyny? - zapytał T.J.
  - Kobiety - poprawił Ed.
  - Ej że, w moim wieku uznanie za dziewczynę jest raczej pochlebne - uśmiechnęła się Joy. - Ale nawet wśród kobiet każda lubi coś innego. Rozumiem, że chcecie wybrać coś, co da waszej mamie do zrozumienia, że myślicie o niej, że za nią tęsknicie i że rozumiecie, jak trudny był ten wybór dla was wszystkich, prawda?
  - Może coś z biżuterii? - zaproponował Jake.
  - Nosi pierścionek, z którym się nie rozstaje. Dostała go od swojej babci. Mówi, że nosi go dlatego, bo przypomina jej babciną miłość. Powinniśmy dać jej coś, co będzie jej przypominało, że my... - resztę zdania wymamrotał pod nosem, jakby się zawstydził, że zostanie uznany za mięczaka.
- Ed wspominał, że Jake ma szesnaście lat; chłopiec w tym wieku uważa się za zbyt dorosłego, żeby publicznie wyznawać, jak bardzo kocha matkę i jak bardzo za nią tęskni, choćby to było widać gołym okiem. To samo czuli pozostali bracia. Joy poznała to po ich spojrzeniach.
- Doskonały pomysł. Jak tylko stąd wyjdziemy, udamy się do stoiska z biżuterią, ale po kolei:

336

najpierw deser, bez którego nasz lunch nie będzie pełny.

- Jesteś pewna, że wystarczy ci czasu? - zapytał Ed.

- No właśnie, bo my możemy się obejść bez deseru - zapewnił Jake, choć dwaj młodszy chłopcy już się sprzeczali, co lepsze: puchar lodów z owocami i bitą śmietaną czy ciastko z owocami.

Joy uśmiechnęła się do Eda.

- Nie martw się, zdążę. - i dodała pod adresem Jake'a: - To jest wigilijny lunch, a przecież wszyscy wiedzą, że nie ma świątecznego posiłku bez deseru.

Jake'a nie trzeba było dwa razy namawiać. Od razu włączył się do dyskusji braci nad wyborem deseru.

- A więc po lunchu idziemy do działu jubilerskiego, tak? - zwróciła się Joy do Eda. - To nie zajmie dużo czasu.

Zamiast się ucieszyć, że zbliżają się do końca, Joy poczuła się... sama nie wiedziała, jak.

Wreszcie znalazła odpowiednie słowo.

Poczuła się samotna.

Może to dziwne, ale już teraz wiedziała, że będzie jej brakowało czterech Hallów.

## ROZDZIAŁ SIÓDMY

Kiedy torowali sobie drogę w tłumie, zadzwoniła komórka Eda.

Odszedł na bok, a Joy została z chłopcami.

Przypominała sobie, jak źle była do nich nastawiona na początku, jak uważała, że wszystkich osobników płci męskiej, niezależnie od wieku, należy ignorować. Ale kiedy tych trzech braci wspominało minione święta, musiała przyznać, że nie tylko mają dużo wdzięku, ale że są całkiem sympatyczni, chociaż wyszło to na jaw dopiero po wielu kłopotliwych przejściach.

- Pamiętam ten rok, kiedy TJ. za nic nie chciał dostać na Gwiazdkę takiego paskudztwa... czegoś w rodzaju galaretowatej meduzy, co strzelało rzadką mazią. Ta meduza stale pojawiała się w jego ulubionym programie telewizyjnym. Zapytał mamę, co ma zrobić, jeśli ktoś mu to ofiaruje, na co ona mu poradziła, żeby po prostu podziękował i odłożył to na bok  
- jednym tchem wyrecytował Jake.

Chłopcy zgodnie zarechotali, a Joy odniosła wrażenie, że coś ją ominęło. Coś bardzo ważnego.

- No i dostał to?- Jasne - odpowiedział Tim. - Zresztą nie od nas, tylko od babci, która chciała pokazać, jaka jest postępową, i kupiła to samo nam wszystkim. Kiedy T.J. otworzył swój prezent...
- Najpierw powiedziałem „dziękuję” - przypomniał T.J.
- Ale zamiast odłożyć, otworzył - opowiadał Jake. - No i rzucił przed siebie, a to paskudztwo uderzyło o ścianę, pękło i wypuściło z siebie galaretowaty śluz, który wczepił się babci we włosy.
- A babcia narobiła wrzasku - dodał Tim.
- Okazało się, że chociaż chciała nam udowodnić, jaka jest równa i fajna, to jak przyszło co do czego, nie chciała się. z nami bawić - powiedział T.J.
- Chciała wreszcie zerwać z tradycją babcinej paczki - zaśmiał się Jake.
- Babcinej paczki?- - zdziwiła się Joy. Jake pokiwał głową.
- No właśnie. Co roku daje nam pizamy...
- Chociaż wie, że śpimy w samych majtkach - dodał Tim.
- A do tego szczoteczki do zębów, chociaż...- wtrącił T.J.
- Chociaż wie, że zawsze dostajemy szczoteczki od dentysty - wyrwał się Jake.

- Ale od tamtych świąt nie daje nam już żadnych ekstrazabawek - ciągnął T.J. - Powróciliśmy do dawnych babcinych paczek.
  - Joy, mogłabyś nam pomóc wybrać damską piżamę? - zapytał Jake.
  - Mówi się „panno O'Connell”, Jake - poprawił chłopca Ed, który dołączył do grupy.
  - A dla kogo kupujecie damską piżamę?
  - Dla babci. Pomyśleliśmy, że zrewanżujemy się jej praktycznym bożonarodzeniowym prezentem: piżamą, szczoteczką do zębów i odrobiną tej zielonej galarety. Mają to w dziale z zabawkami. Jak myślicie, pozna się na żarcie?
  - Babcia? Na pewno się pozna. Pamiętacie to Boże Narodzenie, kiedy kupiła wam wszystkim meduzę, takie oślizgłe paskudztwo? - Ed nie krył uśmiechu.
  - Właśnie o tym opowiedzieliśmy Joy - poinformował T.J. i szybko się poprawił: - Pannie O'Connell.
  - Zostańmy przy Joy. Będzie o wiele łatwiej
  - zaproponowała.
- Chłopcy spojrzeli na swojego tatę.
- Skoro Joy woli być Joy, pójdźmy na kompromis i niech będzie „panna Joy”.
  - Może porozglądacie się za czymś, co spodoba się waszej mamie - zasugerowała Joy.
- Dopiero kiedy chłopcy pognali do sklepu jubilerskiego, Joy zauważyła promienną minę Eda.

340

- Masz jakąś dobrą wiadomość? - zainteresowała się Joy.

- Dobra dla jednej z moich pacjentek. Dlatego tak długo mnie nie było. Umówiłem się, że zadzwonię, gdy tylko dostanę wyniki. Nie ma nic lepszego od przekazywania dobrych wiadomości w Wigilię Bożego Narodzenia. Podejrzewaliśmy raka, ale na szczęście badania to wykluczyły.

Joy bez zastanowienia wzięła Eda za rękę i uścisnęła ją mocno.

- To cudownie.

Uświadomiła sobie, co robi, i szybko cofnęła rękę. Co się dzieje? Czyżby nie mogła się powstrzymać od dotykania Eda Halla? To zupełnie do niej niepodobne. Przecież dopiero co go poznała.

Co za dużo, to niezdrowo! Jeszcze tylko pomoże im dokończyć zakupy, a potem szybko zapomni o swoim dziwnym pociągu do doktora Halla.

- Eee... zobaczmy, jak sobie radzą chłopcy - zaproponowała.

- Panno Joy! - zawołał podekscytowany Tim, ledwo widoczny zza dużej gabloty. - Proszę zobaczyć!

Pokazał palcem naszyjnik za szybą.

- Co pani myśli o tym tutaj?

Joy zobaczyła elegancki otwierany medalion. Z przodu miał wygrawerowane trzy kwiatki, połączone brylancikami.

341

- Mama mogłaby tu włożyć nasze zdjęcia i nosić na szyi. W ten sposób będziemy z nią zawsze, nawet kiedy nas nie ma. - Jake miał zakłopotaną minę, jakby uznał, że taki sentymentalizm nie pasuje do szesnastoletniego młodzieńca.

Joy ze wzruszenia ścisnęło w gardle, ale przełknęła ślinę i skinieniem głowy przywołała sprzedawczynię.

- Proszę nam to pokazać - powiedziała, wskazując medalion.

Dziewczyna położyła go na filcowej podściółce, a chłopcy wpadli w zachwyt.

- Ile kosztuje? - zapytał Jake sprzedawczynię. Joy spodziewała się, że medalion jest drogi i że

jego cena znacznie przekracza zagwarantowane w konkursie finansowe możliwości chłopców, ale nawet ją zatkało, kiedy usłyszała cenę. W salonie jubilerskim za siedemdziesiąt pięć dolarów można kupić niewiele. Tylko niektóre przedmioty w tym dziale miały przystępne ceny, ale medalion do takich nie należał.

- A ze zniżką dla pracowników? - zapytała. Dziewczyna przeliczyła i wymieniła trochę niższą, ale nadal wysoką kwotę.

- A gdyby jeszcze uwzględnić poświęconą obniżkę cen? - próbowała dalej Joy.

Trochę lepiej, ale wciąż za dużo.

- Przykro mi, chłopcy. - Zwróciła się do sprzedawczynie: - Aubrey- powiedziała, zerkając



na jej identyfikator - mogłabyś nam znaleźć coś bardziej zbliżonego do możliwości finansowych chłopców?- Coś poniżej stu dolarów?

- Oczywiście, panno O'Connell. - Dziewczyna zaczęła sprawdzać półki.

Chłopcy, stojąc w tyle, szeptali coś między sobą.

- Panno O'Connell? - odezwał się w końcu Jake. - Czy możemy wykorzystać naszą premię bankową? Mamy po siedemdziesiąt pięć dolarów na głowę, a gdybyśmy dodali nasze premie na prezent dla mamy?- Policzyłem, że będziemy bardzo blisko. Resztę moglibyśmy wziąć z naszego rachunku... a dzisiaj tata by założył za nas.

- Nie ma sprawy. Po prostu dorzucę brakującą sumę - odezwał się Ed głosem ochrypłym ze wzruszenia.

Joy mogła tylko pokiwać głową. Bała się odezwać, bo była bliska płaczu.

Walczyła przez chwilę ze łzami, aż w końcu wychrypiała:

- Aubrey, bądź tak uprzejma i zapakuj to dla tych dżentelmenów.

- Tylko pamiętajcie, chłopaki - Jake zwrócił się do braci - mama nie może się dowiedzieć, że zrezygnowaliśmy z naszej konsoli. Czasami świadomość, że zrobiło się coś dobrego, wystarczy za wszystko, prawda, Joy... panno Joy? - natychmiast się poprawił.

343

- Racja - odpowiedziała, zdumiona, że udało jej się wykrztusić jakiekolwiek słowo. Wycofała w myślach wszystkie okropne opinie na temat chłopców, jakie kiedykolwiek przyszły jej do głowy. Okazali się wspaniali. I tacy mili! Przynajmniej ci tutaj. Byli...

- Trzynasta - warknął Ed.

Chłopcy, jakby już wyczerpali cały zapas dobrych manier, wdali się w nową walkę, tym razem połączoną z rękoczynami: zakładali jeden drugiemu nelsony, przejeżdżali sobie nawzajem kłykciami po głowie, jednym słowem rozkręcili się na dobre. W pewnej chwili T.J. znów zawisł do góry nogami, przytrzymywany przez dwóch starszych braci.

- Niedługo wrócimy, Aubrey - powiedziała Joy, uznając, że będzie bezpieczniej, jeśli chłopcy stąd odejdą. - Już dosyć, moi drodzy. Dokończmy zakupy.

Ed kochał swoich synów i choć wiedział, że jego opinie są na pewno stronnicze, twardo uważał, że jego chłopcy wyrastają ponad przeciętność. Są nadzwyczajni. Wyjątkowi.

Popatrzył na idącą obok Joy.

- Dziękuję za to, że załatwiłaś te wszystkie zniżki i umożliwiłaś im zakup medalionu.

- Czy mogłam postąpić inaczej?

Miłość Eda do synów nie była wolna od

pewnych zastrzeżeń, jak przystało na każdego rozumnego ojca. Ale w tej chwili ojcowska miłość i duma były wolne od głosu rozsądku.

- Fajne dzieciaki, prawda? - powiedział. Joy przytaknęła ruchem głowy.

- Wiem, że się powtarzam, ale kiedy rano dowiedziałam się, że będę musiała towarzyszyć przez cały dzień rodzinie Hallów, nie byłam tym zachwycona. Tymczasem okazało się, że po raz pierwszy w tym sezonie świątecznym odzyskałam dawną...

Szukała właściwego słowa.

- Radość? - podpowiedział Ed.

Zaśmiała się. Oczywiście, Ed miał na myśli jej imię. Joy - radość.

- Tak, radość. Tego mi właśnie brakowało. Ale dzisiaj twoje dzieciaki mi ją przywróciły. Są naprawdę wspaniałe. I ty też, doktorze Hall, choć wolałabym, żeby ci to nie przewróciło w głowie. Dołożenie się do prezentu dla byłej żony... do tego trzeba być naprawdę porządnym człowiekiem.

- Pewnie nie byłbym skłonny do takich gestów zaraz po rozwodzie, a nawet trochę dłużej. Wtedy widziałem tylko ujemne strony sytuacji. Teraz, patrząc na tamte lata z dystansu, zrozumiałem, że Lena jest wspaniałą kobietą, tyle że nie pasowaliśmy do siebie.

Ed podniósł wzrok i nagle wrzasnął:

- Hej! Chłopcy!

345

Joy też spojrzała w tamtą stronę. Bracia dotarli właśnie do stoiska z kosmetykami. Dział zatrudnił na sezon manikiurzystkę, malującą chętnym paznokcie na jaskrawą, świąteczną czerwień. Dziewczyna widocznie zrobiła sobie przerwę, bo nie było jej w zasięgu wzroku. Jake i Tim przygwoździli rękę T. J. do lady i malowali mu paznokcie, nie zważając na jego krzyki i wierzganie nogami - czasem nawet udawało mu się trafić któregoś z braci w piszczel.

- Chłopcy! - po raz drugi krzyknął Ed. Dwaj winowajcy podnieśli głowy, a rozwścieczony T.J. wrzasnął:

- Tato, widziałeś, co oni mi robią?- Widziałem.

Pojawiła się Rachel, manikiurzystka, i ze zgrozą ogarnęła wzrokiem całą scenę.

- Ojej, panno O'Connell, tak mi przykro! Powinnam była uprzątnąć stanowisko, zanim zrobiłam sobie przerwę. Ja...

- Na szczęście nic się nie stało - uspokoiła ją Joy. - Może zmyj tylko lakier temu chłopcu.

- Jasne.

Joy zaczęła pocieszać najmłodszego Halla, a Ed wręcz siłą odciągnął dwóch jego braci.

- Czasami rozpiera mnie duma, ale kiedy indziej po prostu mam ochotę...

Nie zdążył skończyć, kiedy obaj powiedzieli chórem:

346

- Przepraszam, tato.

- Bardzo mnie rozczarowaliście.

- Przecież żartowaliśmy.

- Jeśli wy dwaj się śmiejecie, a on nie, to już nie są żarty. Zasada dziewiąta?

- „Zachowuj się przyzwoicie i bądź życzliwy dla innych” - wyrecytował Jake.

- A byliście?

Nie musieli odpowiadać. Wiedzieli już, że zachowali się niewłaściwie. Wystarczyło na nich spojrzeć.

- I co teraz powinniście zrobić? - zapytał dla porządku Ed.

- Przeprósć T.J. - Tim spojrzał na najmłodszego brata ze skruchą.

- A jeszcze?

Jake westchnął z udręką.

- I pannę Joy,

- Zgadza się. Więc zróbcie to jak najszybciej, a potem dokończmy zakupy, żeby panna O'Connell mogła wrócić do pracy i zdążyła wyjść stąd o zwykłej porze.

Chłopcy podbiegli do Joy i do najmłodszego brata. Ed został z tyłu i obserwował, jak Joy pomaga zmyć lakier T.J. i z uwagą wysłuchuje, co dwaj pozostali mają jej do powiedzenia. Po chwili pokiwała głową i z uśmiechem poczochnęła im włosy. Również T.J. przyjął przeprosiny.

Teraz wszyscy czworo zbili się w ciasną grupkę i wyraźnie się nad czymś naradzali. Kiedy Ed zbliżył się do nich, mówili już prawie szeptem.

- O co chodzi? - zapytał.

- Zastanawiamy się, czy nie masz przypadkiem jakichś indywidualnych zakupów do zrobienia - wyjaśniła Joy.

Miała przy tym identyczną minę, jak jego synkowie, kiedy szykowali jakiś kawał.

- Co wy kombinujecie?

- Nie wiesz, że nie zadaje się takich pytań przed Bożym Narodzeniem? — skarciła go Joy.

- Potrzebujemy pół godziny, więc nie masz wyboru, doktorze Hall. Spływaj.

- Właśnie, tato, spływaj - powtórzył jak papuga T.J.

- Jesteś pewna, że sobie poradzisz z nimi trzema? - zapytał Ed, mając jeszcze w oczach incydent sprzed paru minut.

- Będą grzeczni.

Ed spojrział na chłopców, którzy równocześnie pokiwali głowami.

- Doszliśmy do porozumienia, tato - zapewnił ojca T.J. - Jake i Tim powiedzieli, że jest im przykro, więc przez cały najbliższy tydzień będę mógł jako pierwszy korzystać z Xbox-a.

- No cóż, zgoda. Joy, chyba wiesz, co robisz.

- Zabrzmiało to bardziej jak pytanie niż jak przyzwolenie.

Zauważył, że się zjeżyła, i musiał przyznać, że wygląda uroczo, kiedy się wścieka, że ktoś podaje w wątpliwość jej kompetencje.

Zebrała się w sobie, wyprostowała plecy i ramiona, i wycelowała w jego stronę palec.

- Doktorze Hall... - zaczęła.

- Mam na imię Ed.

Zmrużyła oczy i skrzyżowała ramiona na piersi.

- Ed, radzę sobie z prowadzeniem całego sklepu, przeżyłam przeprowadzkę z drugiego końca kraju, porzucając ludzi, z którymi się zżyłam, miejsce, gdzie dorastałam. Myślę więc, że dam sobie radę z trzema chłopcami. A więc do zobaczenia za dwadzieścia minut przy sprzęcie elektronicznym.

Patrząc na nią, taką wzburzoną i złą, nabral znow nieodpartej ochoty na pocałunek. Rozumiał jednak, że to nierealne ze względu na chłopcowi tłum kręcących się wokół ludzi.

Rzucił więc tylko chłopcom ostrzegawcze, ojcowskie spojrzenie i ze słowami, „bawcie się dobrze”, uśmiechnął się do Joy.

## ROZDZIAŁ ÓSMY

Co Joy miała na myśli, mówiąc:

- Radzę sobie z prowadzeniem całego sklepu, przeżyłam przeprowadzkę z drugiego krańca kraju... Myślę więc, że dam sobie radę z trzema chłopcami...

Tak, Joy wypowiedziała te słowa z pełnym przekonaniem.

I święcie w nie wierzyła.

Jest mądrą i odpowiedzialną kobietą. To chyba oczywiste, że sobie poradzi z trzema chłopcami przy kupowaniu prezentu dla ich taty.

W każdym razie nikt, kto choć trochę ją zna, nie miałby wątpliwości.

W dodatku jego synowie na razie zachowywali się przyzwoicie. Żadnego popychania się, szturchania, czy malowania paznokci.

Jedyne, co można im było zarzucić, to tylko głośne, nieustanne sprzecznienie się o to, co byłoby idealnym prezentem dla ojca.



Czy coś się stało złego, kiedy zabrała ich na górę do stoiska z porcelaną i kryształami? Jasne, że próbowała nimi tak pokierować, żeby ominęli ten dział, ale problem polegał na tym, że znajdował się on akurat na samym początku ich trasy, na wprost wyjścia z windy.

- To się wkrótce zmieni - mruknęła Joy, bardziej do siebie niż do chłopców.

A w dodatku, po wyczerpującej wędrówce, nic tam nie znaleźli.

- Tacie trudno coś kupić - powiedział Jake filozoficznie.

- Może spróbuję wam coś podpowiedzieć? Czy on chodzi na siłownię?- - Rozbawione spojrzenia chłopców wystarczyły Joy za odpowiedź.

- A narzędzia? To znaczy, czy interesuje się samochodami albo majsterkuje?

To pytanie wywołało głośny śmiech.

- Piżama?- - zaryzykowała bez przekonania. -W nawiązaniu do tradycji babci. - Zrobiło jej się trochę głupio, że proponuje coś tak prozaicznego, podczas kiedy chłopcy spodziewają się, że podsunie im jakiś nadzwyczajny i wyjątkowy pomysł. - Chodzi mi o to, że każdemu się przyda nowa piżama.

- Tata śpi nago - wyjaśnił T.J.

Obraz nagiego doktora Halla mignął Joy przed oczami... i nie chciał zniknąć. Ocknęła się dopiero, kiedy Jake trzepnął młodszego brata po głowie.

351

- Nie rozmawia się o tym publicznie - prychnął Jake. - Zasada numer dwadzieścia.

- Przepraszam, Joy. - T.J. wyglądał na skruszonego.

Jake skarcił brata wzrokiem, przypominającym do złudzenia ojcowskie spojrzenie Eda.

- O rany! Przepraszam, panno Joy - natychmiast poprawił się T.J.

- Wychodzi na to, że dalej nic nie wiemy. Nie pozostaje nam nic...

- Słuchajcie, mam pomysł - zawołał Tim.

- Możemy mu kupić...

Joy już wiedziała, co zaraz usłyszy.

- Pozwól, że zgadnę. Czy to ma coś wspólnego z elektroniką?

- Jeden z tych elektronicznych organizatorów

- ciągnął podekscytowany Tim. - Można w nim zapisywać wszystkie ważne sprawy...

telefony, spotkania i daty urodzin, tak, żeby o niczym nie zapominać...

- Jemu chodzi o to, żeby tata nie zapomniał o jego urodzinach, które są w styczniu -

poinformował Jake. - To głupi pomysł. Tata dotąd nie nauczył się posługiwać swoim

iPodem. Tym bardziej nie poradzi sobie z czymś bardziej skomplikowanym.

- iPody są przecież proste - jęknął T.J. - Tata po prostu nie lubi się grzebać w komputerze, a

przecież ma pełno płyt CD, które mógłby sobie

przegrać z komputera na iPod. Twierdzi, że to mu zajmie za dużo czasu.

- No właśnie, czasami bardziej liczy się pomysł niż to, ile wydasz pieniędzy na prezent. A gdybyście jeszcze raz ofiarowali mu jego iPod i położyli mu pod choinkę zobowiązanie na piśmie, że przegracie mu płyty CD z komputera na iPod?- To nie kosztuje wiele, a może go bardzo ucieszyć.

- Chyba da się zrobić - zgodził się Jake. - Stale narzeka na naszą muzykę. Gdybyśmy mu przegrali wszystkie jego starocie, mógłby sobie ich słuchać.

- Co macie na myśli, mówiąc o starociach?

- To słowo kojarzyło się Joy z Lawrencem Wel-kiem, ale jakoś nie wyobrażała sobie, żeby Ed lubił piosenkę o puszczaniu baniek mydlanych.

- Na przykład Meat Loaf - odpowiedział Tim.

- Zaraz, zaraz, sama lubię Meata Loafa, choć nie jestem taka stara - zaprotestowała Joy.

Miny chłopców wskazywały, że mają inne zdanie.

- O rety, wielkie dzięki!

- Możemy mu kupić takie urządzenie, które mu pozwoli słuchać iPod w samochodzie - dorzucił Jake.

Cała trójka namawiała się i dyskutowała jeszcze chwilę, po czym chłopcy zwrócili się do Joy. Domyśliła się, że chcą zasięgnąć jej opinii.

353

- Myślę, że to jest świetny pomysł - zapewniła i odetchnęła z ulgą, choć prawdę mówiąc, wolałaby, żeby to było coś oryginalniej szego.

- Panno Joy - zwrócił się do niej T.J. - Tata czeka na nas w dziale z elektroniką, więc mielibyśmy prośbę... Czy nie mogłaby go pani jakoś stamtąd wyprowadzić, żebyśmy mogli kupić to, co trzeba?

- Nie ma sprawy. I tak chciałam zajrzeć na chwilę do biura, więc wezmę go tam ze sobą. A kiedy kupicie ten aparat, poproście sprzedawcę, żeby go na razie odłożył na bok. Kiedy zapakuje go ładnie, wasz tata nic nie zobaczy.

Chłopcy przyklasnęli takiemu rozwiązaniu.

- Ale potem będziecie musieli dokończyć zakupy. Jest po czwartej, a ja nie chciałabym zamykać sklepu, dopóki nie zdobędziecie prezentu dla każdego.

- Uwiniemy się - obiecał Jake, a jego bracia potwierdzili, gorliwie kiwając głowami.

- Okay. I będziecie przestrzegać waszych rodzinnych zasad?

Wszystkie trzy głowy kiwnęły równocześnie.

- Musicie zachowywać się elegancko, kiedy zostaniecie sami. - Chłopcy wyglądali podejrzenie spokojnie. - Absolutnie elegancko, pamiętajcie. Obiecujecie mi.

- Obiecujemy - powiedzieli chórem, choć miny mieli podejrzenie niewinne.

Joy zwróciła się teraz do Eda.

- Doktorze Hall... przepraszam, Ed, czy mógłbyś mi towarzyszyć przez parę minut i udać się ze mną na górę? Jestem pewna, że przez ten czas chłopcy świetnie dadzą sobie radę.

Entuzjastyczne słowa „tak” i „jasne” zabrzmiały głośniejsz niż kolędy z interkomu.

- Przekonasz się, że wszystko będzie w najlepszym porządku. Wpadniemy tylko do mojego biura, gdzie ty jako prawny opiekun chłopców będziesz musiał podpisać parę stosownych upoważnień.

- Jakich upoważnień? - zdziwił się Ed.

- Och, chodzi o to, żebyś wyraził zgodę na wykorzystanie w promocji zdjęcia waszej rodziny ze świętym Mikołajem... no i jeszcze o zwolnienie sklepu Harrington and Vine's od odpowiedzialności za ewentualne szkody, gdyby na przykład któryś z kupionych u nas prezentów miał ukryty ładunek wybuchowy i... - Joy wzruszyła ramionami. - No, różne takie papierki.

Ponieważ najwyraźniej nie przekonała Eda, który nadal się wahał, czy może zostawić synów samych, postanowiła wypróbować na nim metodę, jaką czasami stosują rodzice wobec dzieci. Nigdy tego nie próbowała, ale wiedziała z doświadczenia, jak to działa.

Chodź ze mną - zasygnalizowała mu wzrokiem.

Jeszcze przez chwilę ściągała go wzrokiem, a kiedy nie zareagował, otworzyła szerzej oczy i spróbowała ponownie: Chodź ze mną.

Ponieważ Ed nadal nie reagował, postanowiła wysłać wyraźniejszy sygnał:

Chodź ze mną, kretynie - mówiła bez słów. - Nie widzisz, że twoi chłopcy nie mogą się doczekać, kiedy wreszcie pójdziesz i pozwolisz im kupić prezent dla ciebie?-

Tym razem, kiedy na nią popatrzył, dostrzegła w jego oczach rozterkę.

Chodź ze mną, spróbowała kolejny raz.

- Doktorze Hall... - Tym razem spróbowała powiedzieć to głośno.

- Ed - poprawił ją.

- Ed, to naprawdę zajmie nam tylko parę minut. Chłopcy zaczekają tutaj na dole i zastanowią się nad pozostałymi prezentami. Będziemy mogli szybciej skończyć zakupy. Jake bierze na siebie odpowiedzialność. Prawda, Jake?- Jasne, panno Joy. Będziemy przestrzegać wszystkich zasad, tato. I pomyślimy o pozostałych prezentach, żeby jak najszybciej skończyć zakupy.

- A widzisz? - powiedziała Joy do Eda, nie przestając go ściągać wzrokiem i myślami.

Chodź ze mną.

- No... dobrze.

356

W obawie, że Ed się rozmyśli, odezwała się do chłopców:

- Idźcie już, chłopaki. - Wzięła Eda za rękę i wyciągnęła go ze sklepu.

- Już myślałam, że nigdy nie odbierzesz mojej wiadomości.

- Jakiej wiadomości<sup>1</sup>? - zdumiał się Ed.

- Użyłam języka spojrzeń, żeby cię skłonić do pójścia ze mną. Chłopcy wymyślili prezent dla ciebie i potrzebują odrobiny prywatności, żeby go kupić.

- Języka spojrzeń? - powtórzył. Joy poczuła, że się czerwieni.

- Wiem, że takie pojęcie nie istnieje, w każdym razie nie w nauce, ale poznałam skuteczność tej metody na własnej skórze. I najwyraźniej odebrałeś mój komunikat, skoro zgodziłeś się wyjść.

- Nie, po prostu pomyślałem, że dzieciaki dały ci w kość. Wyglądałaś tak, jakbyś miała zaraz dostać udaru, więc uznałem, że potrzebna jest ci chwila luzu. - Ed zachichotał, a zaraz potem Joy usłyszała, jak mruczy pod nosem: - Język spojrzeń... no, no.

Może się śmiać, ile mu się podoba, pomyślała bez urazy. Najważniejsze, że idzie przy niej i trzyma ją za rękę...

Szybko ją wyrwała.

- Przepraszam.

357

- Za co?

- Ja...

Chyba wyczuł jej skrępowanie, bo skierował rozmowę na właściwe tory.

- Czy rzeczywiście muszę coś podpisać?- Tylko zgodę na opublikowanie fotografii, o ile dobrze wyszły. Jeśli nie masz nic przeciwko temu, chciałabym też przy okazji załatwić kilka spraw. To nie potrwa długo.

- Nie mam nic przeciwko temu.

Idąc ramię w ramię, doszli do recepcji, aż dotarli do stanowiska Betty, która wyglądała na lekko wykończoną.

- Czy w międzyczasie działo coś się ważnego? - zapytała Joy.

- Było do ciebie parę telefonów, które przesłałam na twoją pocztę głosową. A te pilne zadanie, które mi zleciłaś, jest już załatwione. Znajdziesz wszystko na swoim biurku.

- Świetnie. Jak wypadło?

- Myślę, że będziesz zadowolona - zachichotała Betty.

Joy nie mogła się doczekać, kiedy to zobaczy. Odwróciła się do Eda.

- Chodźmy. Odsłucham wiadomości, ty podpiszesz dokument, a potem zajrzemy do dzieci.

- Doskonale.

Joy otworzyła drzwi i odwróciła się, żeby przepuścić Eda. Betty szła tuż za nim.



358

- O co chodzi? - spytała Joy.

Betty chrząknęła i podniosła wzrok do góry. Ed stał pod jemiolą.

- Skąd to się tutaj wzięło? - zapytała Joy.

- Nie mam pojęcia - odpowiedziała Betty z niewinną miną.

- Nie stoi tam przypadkiem kolejka oczekujących klientów?

- Owszem, ale chciałam się upewnić, że dotarliście bez przeszkód do biura. Wesołych świąt, Joy. - Betty zerknęła ponownie na jemiolę. - Najprzyjemniejsze prezenty to te, które nie są zapakowane i nie leżą pod choinką - dodała.

Kiedy wreszcie wyszła, Joy pokręciła głową. Ed nadal stał pod jemiolą, a minę miał niewyraźną.

- Czy to dalszy ciąg języka spojrzeń? Przy- ' znam się, że nie nadażam.

- Nie. To język kobiety, a dokładniej język Betty. Każdy może się w tym pogubić.

- Możesz mi powiedzieć, o co tak naprawdę chodzić

- Betty wpadła tutaj po naszym wyjściu i zawiesiła jemiolę.

Ed spojrzał w górę, a potem na Joy. Minę miał rozbawioną, ale w jego oczach pojawił się nowy wyraz. I nie miało to nic wspólnego z wesołością.

- A więc... - zaczął.

- Co „a więc”? - wykrztusiła, pomimo nagłej suchości w gardle.

- A więc, czy każeś mi stać samotnie pod tą jemiolą?- - Zrobił króciutką przerwę i zanim Joy zdążyła zareagować, dodał: - Zanim odpowiesz, musisz wiedzieć, że jeśli zostawisz mnie tu samego, będę skazany na wizytę u psychoterapeuty. Twoja odmowa nieuchronnie wpędzi mnie w paraliżujący kompleks niższości i zwątpienie w siebie.

Joy zrobiła pół kroku do przodu.

- Cóż... nie chciałabym być odpowiedzialna za twoje kompleksy.

- Mam nadzieję.

Przysunęła się jeszcze troszkę. Teraz była już tak blisko, że czuła zapach wody po goleniu Eda. Świeży i leśny.

- Dobrze pachniesz - pochwaliła.

- Prezent od chłopców na Dzień Ojca. Podejdź trochę bliżej, żebyś mogła go lepiej poczuć - powiedział łagodnie.

Joy zrobiła ostatni krok.

- I jak?- - zapytał Ed. Wciągnęła głęboko powietrze.

- Bardzo przyjemny zapach.

Pochylił się do przodu, a Joy poczuła na szyi jego oddech.

- Twój też - wyszeptał i podniósł głowę. -1 co teraz? Jestem niemal pewny, że gdzieś czytałem, że kiedy człowiek znajdzie się z kimś pod jemiolą i nie pocałuje tej osoby, spotka go nieszczęście.

360

- Oj, nie chcę, żeby cię spotkało coś złego. - Zanim sobie uświadomiła, że właściwie nie zna tego mężczyzny, wspięła się na palce i cmoknęła go w policzek.

Oderwała się od niego i natychmiast cofnęła o dwa kroki. Była zdumiona, że po tak niewinnym pocałunku może tak mocno walić serce.

- Możesz już się ruszyć - powiedziała. Wolą, żeby wyszedł spod jemioli i żeby już nie miała zdrożnych chęci.

- Boisz się, że nie wytrzymasz?

- Nie chcę kusić losu. Twój chłopcy biegają samopas po dziale elektroniki. Postąpiliśmy zgodnie z tradycją, ale teraz musisz podpisać ten papier, a ja przesłucham wiadomości. Potem szybko do nich wrócimy.

- Słusznie.

Oboje byli wytrąceni z równowagi po tym pocałunku.

Ed od bardzo dawna nie zareagował tak mocno na żadną kobietę. Prawdę mówiąc, nie bardzo wiedział, co z tym począć. Joy zaś musiała przyznać, że w miarę upływu dnia czuje się coraz swobodniej i lepiej z tą rodziną.

Na tyle dobrze, żeby zacząć się spotykać z samotnym tatą?

Ed wiedział, że wiązanie się z kobietą to na dłuższą metę trudna sprawa. Dlatego zawsze trak-

361

tował te układy dorywczo. Co nie znaczy, że był przeciwny poważnemu związkowi, ale nie spotkał jeszcze takiej kobiety, dla której warto by było lawirować między dziećmi a pracą.

Aż do dzisiaj.

Aż do Joy.

Pomyślał nagle, że może warto spróbować i zaproponować jej spotkanie.

Widząc, jak nerwowo krząta się przy biurku, wodzi palcem po dokumencie i co chwila zerka na niego, nie potrzebował mowy spojrzeń, żeby się zorientować, jaka jest niespokojna.

Nie bez powodu przypuszczał, że ten pocałunek poruszył ją w równym stopniu co jego.

- Proszę bardzo - podsunęła mu z uśmiechem papier. - Przeczytaj i podpisz, a ja przez ten czas odsłucham pocztę głosową.

Osunęła się na fotel i nacisnęła guzik w telefonie. Zanotowała coś, potem zaaferowana wciskała jeszcze parę przycisków, aż nagle na jej twarzy pojawił się lekki uśmiezek, który po chwili zamienił się w szeroki uśmiech.

- Dobre wiadomości? - zapytał, kiedy odłożyła słuchawkę.

- Jeszcze jak! Moja kuzynka urodziła córeczkę. Mała waży trzy kilogramy i ma pięćdziesiąt pięć centymetrów wzrostu, a więc jest długa i chuda. Mąż kuzynki twierdzi, że wygląda jak mistrz Yoda, ale kuzynka go zakrzyczała, wołając, że mała jest piękna i że nazwie ją Leia. A tak

naprawdę chcą ją nazwać Noelle Joy, na cześć świąt Bożego Narodzenia...

- I na twoją. Joy skinęła głową.

- To okropne, że mnie tam nie ma.

- Przecież możesz ich niedługo odwiedzić.

- Nie tak znowu niedługo. Zaraz po świątach też mamy urwanie głowy. Ale może w nowym roku wygospodaruję parę dni.

- Trudno się z tym pogodzić, prawda? Wiem z góry, że kiedy chłopcy będą spędzać resztę ferii zimowych u swojej mamy, ja będę się snuł po domu i wszystko będzie nie tak, jak powinno. To może wydawać się dziwne, bo przez większość czasu dałbym wiele za odrobinę spokoju i ciszy.

- Dobrze cię rozumiem. Kiedy mieszkałam w San Diego, zdarzało się, że miałam dość całej rodziny. Może to dlatego, że przez dłuższy czas byłam jedynym dzieckiem w dużej wielopokoleniowej rodzinie. Dorośli, ilekroć się spotykali, mieli sobie tyle do powiedzenia, że czasami zapominali o moim istnieniu. Rozumiesz, co mam na myśli.

Ed pokiwał głową.

- Często się zastanawiałam, co by było, gdybym spędziła święta poza domem i uniknęła obowiązku odwiedzania wszystkich po kolei. Te niezliczone i niekończące się przyjęcia i poczęstunki! Bywałam tym zmęczona. Dopiero teraz wiem, jak mi tego brakuje.

363

- Przykro mi - powiedział Ed, który nie mógł wymyślić nic lepszego.

- Nie ma sprawy.

Joy postanowiła, że nie będzie uważać się nad sobą i nawet zdobyła się na uśmiech.

- Zaraz, zaraz, mam tu te ramki, które chłopcy kupili dla swoich dziadków. Mam też coś dla ciebie.

Ed zauważył na jej biurku trzy identycznie zapakowane prezenty. Joy wzięła ten z wierzchu i podała mu.

- Otwórz to teraz.

Uśmiechała się psotnie, jak chłopcy, kiedy szykowali jakiś szatański numer.

- Czy to wyskoczy na mnie z pudełka, wybuchnie albo coś w tym rodzaju?

- Nie bój się, nic ci nie grozi.

Ed rozerwał papier i otworzył długie, płaskie pudełko. W środku była ramka, identyczna jak te, które wybrali chłopcy. Zdjęcie w ramce przedstawiało zdegustowanego świętego Mikołaja, trzech chłopców i Eda. Jake stał z tyłu i obiema rękami robił rogi nad głowami T.J. i Tima. T.J. dla odmiany robił potwornego zeza, Tim zaś sięgał ręką do brody Mikołaja. Ed zauważył, że sam ma taką minę, jakby wstępował na szafot.

Kiedy robiono to zdjęcie, był potwornie zdegustowany, za to teraz znakomicie się bawił.

- Świetna fotka - pochwalił.

- Fotografia cyfrowa czyni cuda. Zauważyłam,

że fotograf odrzucił tę odbitkę na bok. A ponieważ Harrington and Vine's nie miałyby z niej pożytku, pomyślałam, że może spodoba się tobie.

- Joy, ja... - Chciał powiedzieć, że dzisiejszy dzień był zupełnie inny, niż się spodziewał. Że choć nie przepada za zakupami w Wigilię Bożego Narodzenia, to cieszy się, że mógł ją poznać.

Nie udało mu się jednak odezwać, bo Joy wszystko mu popsuła.

- Chodźmy zobaczyć, co zmajstrowali chłopcy.

Zauważył, że Joy omija wzrokiem powieszoną nad drzwiami jemiołę. W przeciwieństwie do niego. Podszedł więc, stanął dokładnie pod nią i chrząknął.

Joy natychmiast to spostrzegła.

- Zrobiłeś to naumyślnie.

- Co mogę powiedzieć na swoją obronę? Jestem facetem. Pozwij mnie

Joy westchnęła jak męczennica, ale Ed zauważył, że leciutko się uśmiechnęła, kiedy pochyliła się i cmoknęła go bardziej ochoczo niż za pierwszym razem. Nie pozwolił jej odejść, tylko przyciągnął bliżej i pocałował mocno w usta - chociaż i tak nie tak mocno, jak miał ochotę.

- Teraz dobrze? - zapytał.

- Dlaczego to zrobiłeś? - zapytała zakłopotana i zła.

- Bo wyglądałaś jak ktoś, kto potrzebuje pocałunku.

**365**

- Ja,, ty... - zająknęła się. - A niech to, chodźmy już stąd.

Opuścili biuro i szli korytarzem, kiedy z głośników popłynęła rockowa wersja świątecznej piosenki o mamie całującej się pod jemiolą ze świętym Mikołajem. Ucieszony z tego zbiegu okoliczności, Ed ochoczo podchwycił melodię.

Joy odwróciła się i spiorunowała go wzrokiem,

Zachichotał i nucił dalej. Sam nie wiedział dlaczego, ale rozpierała go radość.



## ROZDZIAŁ DZIEWIĄTY

Joy była zdumiona, jak szybko i sprawnie chłopcy uwinęli się z zakupami. Wystarczyło, że skończyli się wygłupiać, a poszło im jak z płatka.

Wreszcie udało im się kupić stosowne prezenty dla obu przyrodnych sióstr. Jamie na pewno była znakomitą doradczynią, ale Joy świetnie weszła w jej rolę. Wprawnie przejrzała stertę prezentów, a przy pudełeczku z prezentem dla mamy ponownie ogarnęło ją wzruszenie.

Chłopcy, sądząc po minach, byli z siebie nadzwyczaj zadowoleni.

- Teraz pojedziemy na górę do poczekalni, zapakujemy to wszystko i na tym zakończymy - zaordynowała Joy.

- Joy, to nie jest konieczne. Możemy to zrobić w domu - wtrącił Ed.

- Jak to nie jest konieczne? Harrington and Vine's jeśli już coś robi, to dobrze. Naszą dewizą

jest maksymalna troska o klienta. Dopilnujemy, żeby wszystko było gotowe do oglądania jutro rano.

Chłopców nie trzeba było dłużej zachęcać. Robiąc mnóstwo zamieszania, zaczęli rozdzielać między siebie torby z prezentami, a Joy i Ed udali się w stronę windy.

- Na pewno masz na to czas i ochotę? - z troską w głosie zapytał Ed. - Zajęliśmy ci przecież prawie cały dzień.

- Na pewno - uspokoiła go Joy. - Muszę ci wyznać, że byliście główną atrakcją moich tegorocznych świąt. Dzięki chłopcom zaznałam trochę świątecznego nastroju. Poza tym, kiedy wysłuchałam tylu entuzjastycznych pochwał na temat konsoli do gier, zastanawiam się, czy nie kupić tego dla siebie.

Ed zachichotał.

- A więc przekonałaś się do tych nieznośnych smarkaczy? - - Obejrzał się za siebie.

- Nie ulega wątpliwości. - Popatrzyła na trzech obładowanych chłopców, biegnących do windy. Sama nie mogła w to uwierzyć. Zrobiło jej się żal, że ten dzień dobiega końca.

Naprawdę bardzo ich polubiła. Wszystkich.

Akurat w tej chwili T.J. popchnął Tima, a Jake, najwyraźniej wczuwając się w rolę starszego brata, tak przyłożył T.J., że dzieciak aż się zachwiał.

- Uważajcie! - zawołała, bojąc się, że zrobią sobie krzywdę.

368

- Zasada numer trzynaście - warknął Ed, nie patrząc w ich stronę.
  - Skąd wiesz?
  - Ojciec musi mieć oczy z tyłu głowy. Roześmiała się na takie oświadczenie.
  - A co mówi zasada numer trzynaście?
  - Chłopcy! - przywołał ich Ed.
  - „Żadnych rękoczynów między braćmi. Nigdy. Zwłaszcza w miejscach publicznych” - wyrecytowali jak papugi.
  - Mówiłam ci już, że podobają mi się te zasady? - zapytała Joy.
  - Nie wiem, czy to najlepsza metoda uczenia dyscypliny. Moja była żona nigdy nie była ich szczególną entuzjastką. Ale wydają się skuteczne. Wolę ich wychowywać z humorem niż twardą ręką.
- Dotarli do stanowiska Betty.
- Dobrze się bawiliście, chłopcy? - zawołała. Potwierdzili chórem.
  - Poczekalnia znajduje się tam w głębi - powiedziała Joy i skierowała całą grupę do właściwego korytarza. Minęli jej biuro i weszli do poczekalni.
- Betty sprowadziła z miasta mnóstwo prześlicznych papierów do pakowania, gotowych kokard, wstążek, tasiemek, świątecznych toreb i taśm.
- O rany! - zawołali chłopcy, kładąc prezenty na długim stole.
  - Do roboty! - zawołała Joy. Zatrzymała się

z Edem w drzwiach, skąd mogli obserwować zbiorowe szaleństwo pakowania.

- Będę musiała wezwać ekipę sprzątaczy, żeby zrobili po was porządek - powiedziała ze śmiechem, kiedy Tim wpiął sobie kokardę we włosy.

- Kto jest twoim ulubionym synem, tato?

- zawołał Jake, trzepocząc rzęsami.

- Ty, synu... w niektóre dni.

- Czy dzisiaj jest właśnie taki dzień?

- Wiesz dobrze, że tego ci nigdy nie zdradzę

- obruszył się Ed.

- To jasne, że teraz tego nie powie, ale wszyscy dobrze wiemy, że jestem jego ulubieńcem

- oznajmił braciom Jake.

W odpowiedzi z rąk braci posypały się na niego kulki papieru.

- Masz naprawdę wspaniałe dzieciaki - zapewniła Joy Eda, wypowiadając na głos to, o czym od dawna myślała.

- Zdawało mi się, że masz alergię na chłopców.

- Z pewnością miałam, ale chyba się z tego wyleczyłam. Twoje dzieci działają jak szczepionka... może mnie uodpornili?

- A może... - W pomieszczeniu zadzwonił telefon, kładąc kres żartom. Joy podniosła słuchawkę.

- Joy, masz rozmowę na trzeciej linii - odezwała się Betty.

- Poczekaj, zaraz będę w biurze. - Uśmiechnęła się przepraszająco do Eda. - Za chwilę wracam.

370

Cisza w jej pokoju aż dzwoniła w uszach. Podniosła słuchawkę.

- Halo - odezwała się.

Kiedy skończyła rozmowę, dostrzegła stojącego w drzwiach Eda.

- Wszystko w porządku? - zapytał. Uśmiechnęła się i pokiwała głową.

- Bardziej niż w porządku. Dzwoniła pani Jeffereys. Kiedy ta obdarowana rodzina wróciła do domu, była ogromnie uszczęśliwiona i bardzo wzruszona. Annę dopytywała się, czy przypadkiem pani Jeffereys nie wie, kto zostawił te prezenty, ale ona wszystkiego się wyparła. Ale Anne wiedziała swoje. Podobno nie wytrzymała i wybuchnęła płaczem. Ed podszedł bliżej.

- Zrobiłaś dobry uczynek.

- Bez was wszystkich nie dałabym rady.

- A skoro już mowa o nas... - zaczął Ed i urwał.

- Tak?

- Powiedziałaś, że mieszkasz tu od niedawna, a kiedy zapytałem, jakie masz plany na dzisiejszy wieczór, nie odpowiedziałaś. Pomyślałem sobie, że może niczego nie zaplanowałaś... a gdyby tak było rzeczywiście, to czy nie miałabyś ochoty na wspólną kolację ze mną i z chłopcami?

Joy zatkało. Z radością spędziłaby wieczór z Hallami, ale nie chciała się narzucać.

- Ed, nie wiem, co powiedzieć... przecież dziś jest Wigilia.

371

- Wiem. Pomysł wspólnej kolacji z moimi trzema ancymonkami nie jest może zbyt zachęcający, ale pamiętaj, że nasze zasady obejmują również posiłki - przypomniał jej.

- Na przykład zasada numer piętnaście zabraniająca obrzucać się jedzeniem, zgadza się? - Zgadza - odpowiedział z uśmiechem.

- I uwierz mi, naprawdę chcielibyśmy cię gościć u siebie. - Przerwał na chwilę, po czym dodał:

- A najbardziej ja.

Joy podobał się uśmiech Eda. Prawdę mówiąc, podobało jej się w nim wiele rzeczy.

Sposób, w jaki odnosi się do chłopców. Sposób, w jaki troszczy się o pacjentów. Jego

poczucie humoru. Ustanowione zasady dla synów. I była więcej niż pewna, że spodoba jej się wspólna kolacja z Hallami.

- Wyświadczyłaś nam uprzejmość i poświęciłaś nam cały dzień - ciągnął Ed - a ja chciałbym spłacić nasz dług.

- Ach, więc o to chodzi? - Poczowała się rozczarowana. Obejdzie się bez jego wspaniałomyślności. Nie chciała, żeby potraktował zaproszenie jako akt dobroczynności. - Nie, chyba się nie zdecyduje. W końcu to święto rodzinne, a nie czas na spłacanie długów.

- Joy... - zniżył głos Ed. - Nie chodziło mi

tylko o dług wdzięczności. Lubimy twoje towarzystwo i bardzo byśmy chcieli, żebyś do nas dołączyła. A w dodatku... - urwał speszony. - Cóż, chyba wyszedłem z wprawy.

Wprawdzie mam trzech synów, z których jeden czasami umawia się z panienkami, więc mógłbym przejść u niego kurs powtórkowy, ale... - Odchrząknął i zaczął od nowa: - Bardzo bym chciał spędzić z tobą wieczór, i na pewno nie tylko ten jeden, ale nie chciałbym cię, broń Boże, ponaglać, więc zacznijmy może od dzisiejszej kolacji. Chciałbym, żebyś była z nami podczas wigilijnej kolacji. Przysięgam, że nie będę puszczał kolęd ani żadnych świątecznych melodii.

Joy widziała szczerłość w jego oczach. Na pewno nie kłamał, a ta spleta długów tylko mu się wymknęła. Pomyślała o pocałunku pod jemiolą. Coś w tym jest, to pewne. Czują do siebie wzajemny pociąg.

- Właściwie - zaczęła powoli i z uśmiechem - parę kolęd by nie zaszkodziło, pod warunkiem, że nie będą w wersji rapowej.

Uśmiechnął się zadowolony.

- To znaczy, że przyjdiesz?- Tak - pokiwała głową.

Sapnął z ulgą, jakby czekając na jej odpowiedź, wstrzymywał oddech.

- Wspaniale. Strasznie się cieszę. A teraz pora sprawdzić, co robią chłopcy, bo niepokoję się trochę o stan twojej poczekalni.

373

Joy ruszyła w stronę drzwi, ale zaraz zdała sobie sprawę, że Ed nie poszedł w jej ślady.

Odwróciła się i zobaczyła go stojącego pod jemiolą.

- Istnieje zasada dotycząca jemioli, zapomniałaś? - zapytał żartobliwie strofującym tonem.

- A który ma numer? - podjęła grę Joy. Ed nawet się nie zastanawiał.

- Numer dwadzieścia osiem, oczywiście.

- Dwadzieścia osiem, coś takiego! - udała zdziwienie i wsunęła się w otwarte ramiona Eda. -

Widać jeszcze za słabo znam zasady życiowe rodziny Hallów.

Wspięła się na palce i przywarła ustami do jego warg. I dopiero w tej chwili, pierwszy raz od opuszczenia San Diego, poczuła się jak w domu.

Potem Ed przyciągnął ją bliżej.

- Chciałbym w tej chwili błysnąć jakimś poetyckim, górnolotnym tekstem, ale najlepsze, na co mnie stać, to „o rany!”.

- To zupełnie wystarczy.

- O której zamykasz magazyn?

- O szóstej. Spojrzał na zegarek.

- To już niedługo. Co powiesz na to, gdybyśmy się pokręcili trochę tutaj i poczekali na ciebie? Mogłabyś pojechać za nami.

Chyba powinna zaprotestować i powiedzieć Edowi, że nie muszą na nią czekać, tymczasem,



zamiast tego, po prostu uśmiechnęła się i powiedziała:

- Byłoby mi bardzo miło.

- A więc jesteśmy umówieni - powiedział Ed i wziął ją za rękę. - Chodźmy do chłopców.

Ciekawe, czy posunęli się naprzód z pakowaniem.

Kiedy wrócili i zajrzeli do poczekalni, zawołali jednym głosem:

- O nie!

Pokój wyglądał tak, jakby eksplodował w nim worek Świętego Mikołaja.

- Przepraszam cię, Joy - odezwał się po chwili milczenia Ed. - Skończ swoją pracę, a ja przez ten czas pomogę im i spróbuję zlokalizować meble pod tymi wszystkimi papierami.

- Ed, naprawdę nie ma takiej potrzeby.

- Chyba będziemy musieli dodać do naszej listy kolejną zasadę. Jak się na to zapatrujecie, chłopcy? Jeśli zrobicie gdzieś chlew, musicie go posprzątać.

Nie oczekiwał entuzjastycznej zgody. Kiedy chłopcy się rozejrzeli i zobaczyli spustoszenie, jakiego dokonali, jęknęli boleśnie.

- To oznacza, że się zgadzają i że zaraz posprzątamy... gdybyś miała trudności ze zrozumieniem ich języka - zapewnił Ed. - Zostaw nas i pozałatwiaj swoje sprawy. Im szybciej skończysz, tym szybciej będziemy mogli stąd wyjść.

- Wrócę niedługo.

Joy szybko uwinęła się z tym wszystkim,

375

czego nie można było odłożyć na po świętach, po czym zadzwoniła do działu z elektroniką i umówiła się, że zapakowaną konsolę do gry przyśle do jej biura.

Nie powinna kupować tak kosztownego prezentu dzieciakom, które dopiero dzisiaj poznała, ale tak bardzo ujął ją gest rezygnacji z konsoli na rzecz prezentu dla matki, że nie była w stanie się oprzeć.

Może powinna namówić Eda, żeby pozwolił im rozpakować konsolę jeszcze dzisiaj wieczorem. Po kolacji mogliby ją nauczyć korzystania z tego urządzenia.

Zbierając swoje rzeczy, Joy przypomniała sobie, w jakim ponurym, zupełnie nieświętecznym nastroju była jeszcze dzisiaj rano. A teraz? Dzięki Hallom z przyjemnością, wręcz z radością myślała o wieczorze.

Szybkim krokiem przemierzyła korytarz i otworzyła drzwi do poczekalni, ciekawa, co tam zastanie... i zatkało ją z wrażenia. Pokój lśnił czystością.

- No, no, widzę, że jak już weźmiecie sobie coś do serca, jesteście naprawdę dobrzy - pochwaliła ich wszystkich.

Chłopcy aż się rozpromienili na taką pochwałę.

- Tata powiedział, że jedziesz z nami na kolację - odezwał się Jake.

- A wy nie macie nic przeciwko temu? - Nie musiała długo czekać na odpowiedź.

- Jasne, że nie! - zawołał T.J. Dostrzegł za

376

pakowane pudełko w jej ręku. - Panno Joy, co to takiego?

- Eee... nic takiego. Taki tam drobiazg dla trzech wyjątkowych facetów, których dzisiaj poznałam.

- A zdobyłaś coś dla taty?

Joy sięgnęła do teczki, do której włożyła ramki.

- Tej jednej nie zapakowałam, ale...

Ed wyjął ją z kartonika i odwrócił w stronę chłopców.

- Moje nowe ulubione zdjęcie.

Chłopcy aż jęknęli, widząc zwariowaną rodzinę w towarzystwie wyjątkowo ponurego świętego Mikołaja.

- Uważam, że to bardzo wierna fotografia

- zapewniła Joy. - Wasz tata powinien ją trzymać na swoim biurku.

- Moi biedni pacjenci - westchnął Ed, potrząsając głową. - No dobra, chłopaki, zbieramy się i zabieramy pannę Joy do domu na kolację.

- Masz szczęście, że tata dzisiaj nie gotuje

- oznajmił Jake. - Bo jak nic, jedlibyśmy hot dogi i makaron z serem.

Gdy wychodzili galerii, w której panowała teraz tak niesamowita cisza, że Joy aż zateśniała za kolędami, chłopcy paplali o ulubionych, choć nie zawsze udanych, popisowych potrawach Eda.

Strażnik w głównym wejściu czekał, aż będzie mógł zamknąć budynek.

377

- Dobranoc i wesołych świąt - powiedziała Joy.

- Nawzajem, panno O'Connell.

- Ona jedzie teraz do nas do domu - pochwalił się T.J. mężczyźnie.

- A niech mnie! Na pewno będziecie mieli wspaniałą Wigilię.

- To pewne, bo dziś tata nie gotuje - poinformował strażnika Jake.

Kiedy wyszli na dwór, powitało ich rześkie i wilgotne powietrze, a na niebie było jeszcze więcej chmur niż wtedy, kiedy zawozili prezenty.

- Czegoś jeszcze nie ustaliliśmy. Jak wiesz, muszę zawieźć chłopców do Raleigh, a podróż w obie strony zajmie sporo czasu i zastanawiam się właśnie, jakie masz plany na jutro - wyrecytował jednym tchem Ed.

- Czyżbym miała spędzić dzień na przejażdżce z pewnym doktorem reumatologiem i jego trzema synami?

- Gdybyś to powtórzyła w formie twierdzącej, wiedziałbym, że się zgadzasz.

Joy roześmiała się i powiedziała to samo bez znaku zapytania.

- Mam spędzić dzień na przejażdżce z pewnym reumatologiem i jego trzema synami.

- Świetnie. A co robisz w Nowy Rok?

- Nie wiem. Więc co robię w Nowy Rok? Ed pochylił się i szepnął jej do ucha:

378

- Może umówimy się na prawdziwą randkę dla dorosłych, bez udziału chłopców?

- Gdybyś to powiedział w formie twierdzącej, byłbyś już umówiony.

Ed objął ją ramieniem i przyciągnął mocno.

- No nie! - zawołali chórem chłopcy. Kiedy szli przez niemal opustoszały parking, zaczął sypać śnieg. Dla Joy niósł on ze sobą coś więcej niż kolędy i prezenty pod choinką. Był zapowiedzią nowych możliwości i szans.

- A co robisz w Święto Niepodległości, doktorze Hall?

W odpowiedzi Ed wziął ją w ramiona i pocałował. W tym pocałunku było coś znacznie więcej niż możliwość i szansa... było w nim uznanie i potwierdzenie tego, że ten mężczyzna... właśnie on jest tym, na którego czekała.

- Obrzydliwość! - zareagowali zgodnie chłopcy i zaczęli się krztusić ze śmiechu.

I właśnie w tej chwili, w objęciach Eda i w otoczeniu trzech zabawnych chłopców, Joy poczuła się bardzo... no właśnie, bardzo radosna.

Jej imię - Joy - tym razem bardzo pasowało do jej nastroju. Joy to nie tylko sama radość! To prawdziwe szczęście! Niespodziewane szczęście!